Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 9 lutego 1936 r. Nr. 6



TAM, GDZIE ODBYWA SIĘ OLIMPJADA...

MARJAN BRONISŁAWSKI

6)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

W sypialni dał się słyszeć szelest i po chwili pani Hardenowa otworzyła drzwi. Nie chciała otwarcie zrywać z mężem, jak nakłaniał ją do tego Gerber, póki nie dowie się, co się stało z jej posagiem. Zresztą Mike, jako mężczyzna podobał się jej może więcej, niż liczni jej adoratorowie z Gerberem na czele. Nie żywiła dla niego żadnego głębszego uczucia, jak zresztą nikogo prawdziwie nie kochała, ale instynkt samicy pociągał ją ku dobrze zbudowanemu i zdrowemu samcowi.

To samo możnaby było powiedzieć o Hardenie, który uprawiając poza jej oczami przelotne miłostki, cenił ją nie jako żonę i towarzyszkę życia, ale jako doskonale rozwiniętą i namiętną kobietę.

Słowem, była to parka ludzi, którzy znaleźli się, jak powiada przysłowie, w korcu maku.

Wyszedłszy z sypialni, Greta obrzuciła niechętnym wzrokiem małą Haneczkę. Nie spodobał jej się odrazu słowiański typ dziecka, ale po bliższem przyjrzeniu się Haneczce, odrzuciła podejrzenie, że ojcem dziecka jest jej mąż. Rysy Haneczki w niczem nie przypominały rysów Hardena. Zrozumiała, że niema powodu do zazdrości, i łaskawiej już przemówiła:

— No, to nie twoje. Ale jeżeli myślisz, że ja sama będę zajmować się tą dziewczynką, to grubo się mylisz. Jeżeli ci zależy na tem, żeby ten dzieciak był u nas w domu, musisz postarać się o służącą. Dziecko trzeba karmić, ubierać, myć, a ja nie nadaję się do takich robót. Tembardziej, że za jakie dwa miesiące znajdzie się i nasze. A wtedy...

— Służąca? — przerwał Harden. — Alboż to ja jestem miljonerem, żebym mógł trzymać służące? Interes i tak marnie idzie, a tobie służącej się zachciewa!

— Marnie, powiadasz? Hm... — rzekła ironicznie — ale wystarcza jakoś tobie na wysiadywanie całemi nocami po klubach i przegrywanie setek dolarów. Zresztą nie chcę, żebyś na mnie wydawał pieniądze z twej knajpy... Mam przecież posag, całe dwadzieścia tysięcy... Właśnie miałam ci powiedzieć, że muszę mieć porządne futro na zimę. Upatrzyłam sobie jedno za półtora tysiąca i musisz dać mi te pieniądze...

Harden zaniepokoił się.

— Czyżby wiedziała, że posag jej stopniał? — pomyślał błyskawicznie. — Muszę ją ukołysać półtora tysiącem, bo inaczej zaczną się wieczne awantury i stary gotów się dowiedzieć, co stało się z jego pieniędzmi.

— Słyszałeś? — ciągnęła Greta. — Potrzebuję półtora tysiąca dolarów na futro i muszę mieć służącą, jeżeli chcesz, żeby to dziecko, choćby jakiś czas było u nas.

— Nie spodziewałem się, Greta, że tak będziesz odnosić się do mnie — odparł niby zasmucony. — Dlaczego mówicz, że nie chcesz, żebym ja wydawał na twoje potrzeby? Przecież wiesz dobrze, że wszystko, co posiadam, jest także twoją własnością, a co do twego posagu...

Greta słuchała słów męża z ogromnem zaciekawieniem.

— Co do twego posagu, ten jest tak ulokowany, że ani grosza nie można z niego ruszyć. Mówiłem o tem twojemu ojcu...

— A tak — odparła — mówiłeś i pokazywałeś podobno jakieś akcje, nabyte za dwadzieścia tysięcy... Czy przynajmniej pokażesz i mnie te papiery? Zdaje mi się, że mam prawo dowiedzieć się, jak i gdzie są ulokowane moje pieniądze. Zresztą bierz skąd chcesz, abym tylko ja miała na to, co muszę kupić...

Zanosiło się na długą rozprawę małżeńsko-finansową. Harden chciał jej uniknąć za wszelką cenę i z żalem pomyślał, że jednak trzeba będzie dać przecie te półtora tysiąca i, co gorzej postarać się o służącą, jeżeli chce mieć spokój w domu.

— Papierów, które kupiłem za twoje dwadzieścia tysięcy, nie mam przy sobie. Są złożone w banku. Chcąc pokazać ci, musiałbym je odebrać, ale tego zaraz zrobić nie mogę. Za kilka dni...

— Dobrze. Poczekam. Ale tymczasem staraj się o pieniądze dla mnie.

— Oto nie martw się — odpowiedział, uśmiechając się. — Dostaniesz je natychmiast.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni sporą paczkę banknotów i odliczywszy piętnaście setek, wręczył je niedowierzającej własnym oczom żonie.

— Oto są — rzekł chowając resztę. — Kupuj to futro i nie narzekaj, że żałuję na twoje potrzeby. Ale teraz pomyśl jak urządzimy się z tą małą. Przedewszystkiem trzeba jej dać jeść i obmyślić jaki kącik do spania...

Greta tak była zdumiona wspaniałomyślnością męża, że nie widziała co o tem sądzić. Zażądała pieniędzy na futro dlatego tylko, żeby mieć pewne podstawy do żądania przynajmniej części posagu, gdyż pieniądze zawsze były jej potrzebne na eskapady z licznymi „przyjaciółmi", z których niestety żaden nie zaliczał się do ludzi bogatych. Spodziewała się, że w najlepszym razie uda się jej wydobyć od męża jaką setkę, najwyżej dwie, a tu naraz ujrzała się w posiadaniu pokaźnej sumy półtora tysiąca.

Udobruchana w ten sposób, choć niechętnie, zabrała się do Aneczki. Dała jej szklankę mleka i kilka suchych ciastek i posadziwszy w kuchni przy stole kazała jeść.

Wygłodniały dzieciak pokornie zabrał się do jedzenia, popłakując co chwilę.

— Przestańże się mazać! — zawołała ostro Hardenowa. — Jak będziesz płakać, oddam cię murzynowi, słyszysz!

Haneczka zamilkła. — W małem jej serduszku odezwała się tak silna tęsknota do ojca, że odłożyła trzymane w rączce ciastko i rozpłakawszy się głośno, zaczęła wołać:



Niecodzienna niespodzianka spotkała berlińskiego kapelmistrza, w mieszkaniu którego zakwitła choinka, stojąca od paru dni w wazonie, napełnionym wodą.

— Tata, mój tata!... Ja nie chcę jeść bez taty. Tylko chcę do domu, taty! Haneczka boi się murzyna!

— Nie chcesz jeść. Dobrze! — krzyknęła twardo Hardenowa. — Jak się dobrze przegłodzisz sama przyjdziesz prosić, żebym ci co dała. A teraz, spać. I ani mrumru! Bo zaraz murzyna zawołam.

Zaprowadziła ją do pokoju i położyła na kanapie.

Haneczka chwilę jeszcze cichutko płakała ,ale wkrótce sen zmorzył zmęczone i wystraszone dziecko. Zasnęła z oczkami pełnemi łez.

Takie było przywitanie córeczki Burskiego w domu, który miał być jej domem na długie lata.

Kwiat na śmietnisku.

Jakkolwiek Greta Harden od pierwszej chwili odnosiła się z nietajoną niechęcią do córeczki Burskiego, a mąż jej postanowił pozbyć się ciężaru opieki nad dzieckiem, oddając je do zakładu dla sierot, dzień upływał za dniem, a cicha sierotka stale przebywała w mieszkaniu szynkarza. Nie wiele zresztą sprawiała kłopotu pani domu swą małą osóbką. Szczebiotliwa i figlarna w domu ojca, nierzadko nawet swawolna, jak bywają dzieci w jej wieku, w nowem otoczeniu dziwnie spoważniała i posmutniała.

Wrażliwe dziecinne serduszko odczuwało, że wyrządzono jej jakąś wielką krzywdę, że dzieje się z nią coś, co dziać się nie powinno. Nikt się nią nie zajmował, nikt się nie troszczył o tę dziecinę, którą los tak po macoszemu potraktował. Narzuceni jej opiekunowie zbyt byli zajęci swojemi sprawami, aby poświęcić bodaj chwilę czasu Haneczce. Greta jak zawsze miała prawie codziennie masę interesów poza domem, a Harden stale przebywał na

dole, w szynku lub w karciarni, i tylko czasem zjawiał się na noc na górę, wtedy, gdy nie szedł do klubu na karty.

Kwestję odżywiania dziecka Hardenowa załatwiała w ten sposób, że zabrała Haneczkę rano do śniadania razem z sobą, a wychodząc zostawiała butelkę mleka i suche ciasteczka, mówiąc małej, że może jeść ile jej się podoba. Jeżeli Greta była w domu wieczorem, Haneczka dostawała talerzyk zupy, czasem kleik owsiany lub cokolwiek jarzyny. Zdarzało się to jednak bardzo rzadko, gdyż Hardenowa przychodziła zwykle do domu późno, nierzadko w doskonałym humorze, podnieconym tańcami i alkoholem. W takich razach Haneczka szła spać bez właściwej wieczerzy, o szklance zimnego mleka i kilku sucharkach lub ciasteczkach.

Kącik do spania miała wyznaczony w pokoju na wielkiej kanapie. Przez pierwsze kilka dni, Greta rozbierała ją do snu i myła przed położeniem. Wkrótce jednak zaniechała tego zwyczaju i Haneczka albo kładła się w ubraniu, albo też sama próbowała się rozbierać.

Pozostawiana sama sobie, nie mając sposobności z nikim rozmawiać, sierota spędzała całe dni na wędrówkach po kuchni i pokojach popłakując z cicha, nucąc niezapomniane jeszcze piosenki, które śpiewała w domu ojca, lub rozmawiając sama z sobą i z nieobecnym tatusiem.

Spragniona pieszczot i ciepła serdecznego, kilka razy próbowała przymilać się do Grety, w nadziei, że ta piękna pani, tak ślicznie ubrana, weźmie ją choć raz na kolana, przytuli do serca, pobawi i popieści, jak to robił zawsze jej tatuś. Daremne jednak były usiłowania sieroty, tak bardzo spragnionej jakiejkolwiek miłości macierzyńskiej. Dziecinny szczebiot i uśmiech niewinnego dziecka nie zmiękczyły twardego serca. Hardenowej. Raz i drugi odtrąciła ją szorstko, nie powiedziawszy jednego cieplejszego słowa, nie pogładziwszy nawet jasnej główki sieroty.

Jedynem towarzystwem Haneczki była stara lalka, zabrana przez Hardena wraz z innemi rzeczami z mieszkania Burskiego, i ilustrowany katalog jakiegoś wielkiego domu towarowego. Z niezwykłą na swój wiek inteligencją Haneczka godzinami kartowała strony katalogu i rozpoznawała, co mają przedstawiać obrazki .Wielu rzeczy nie znała i głęboko się zastanawiała, do czego może służyć jakiś przedmiot, którego nazwać nie umiała.

Z lalką prowadziła długie rozmowy podobne do tych, jakie prowadził z nią ojciec w domu, kiedy opowiadał jej o mamie, co poszła do nieba i z między gwiazd patrzała na Haneczkę, która powinna być dobrą, i grzeczną.

— Jak będziesz dobrą, lalusiu — mówiła — to i ciebie mama zobaczy i może weźmie razem ze mną do siebie. Tam będzie i mój tatuś, co mi ciebie dał, żebyś była moją córeczką. A tatuś mówił, że w niebie bardzo ładnie. Aniołki tam sobie fruwają w powietrzu i grzecznym dzieciom rozdają takie wielkie pudełka cukierków i zabawek....

Nieodpowiednio odżywiana i pozbawiona wszelkiej opieki, Haneczka w



W berlińskim pałacu sportowym odbyły się łyżwiarskie mistrzostwa Europy w jeździe figurowej. Nasza ilustracja przedstawia sztuczne lodowisko w czasie mistrzostw.

kilku tygodniach zmizerniała. Okrągła jej twarzyczka wydłużyła się i straciła dawne rumieńce .Z niebieskich ocząt znikł wesoły, figlarny wyraz i ustąpił miejsca jakiejś smutnej, a rzewnej zadumie. Haneczka miała niespełna cztery lata, a wyglądała na znacznie starszą.

Tak cichutko się zachowywała ,że przez kilkanaście dni oprócz Hardena i jego żony nikt nie wiedział, że w mieszkaniu nad szynkiem znajduje się dziecko. Na górę bowiem żaden z „bartendrów“ nie chodził, a Haneczki nigdy słychać nie było. Dowiedzieli się o dziecku dopiero z ust pomocnika mleczarza, który codziennie rano zanosił do mieszkania Hardenów mleko i zostawiał je w kuchni, zabierając równocześnie butelki z poprzedniego dnia.

Owym dostarczycielem mleka był chłopiec lat może dwunastu, wesoły i żywy, o dziwnie inteligentnych rysach. Zwyczajem amerykańskich chłopaków biegał po schodach z głośnem gwizdaniem wpadał do mieszkania nie zdejmując czapki, i równie hałaśliwe wypadał znów na ulicę, gdzie stał wóz mleczarski, aby znów do innego domu pognić. Syn ubogiej wdowy z dalekiego przedmieścia, kobiety niezdolnej do pracy i pozbawionej wszelkich środków do życia, wcześnie musiał zrzec się zabaw z rówieśnikami i właściwych swemu wiekowi rozrywek, aby stanąć do twardej pracy i dostarczyć matce cokolwiek grosza do opędzania najkonieczniejszych potrzeb.

Biegając z butelkami mleka po domach klientów swego pracodawcy, zazdrosnem okiem spoglądał na chłopców idących do szkoły. Pamiętał, że do dziesiątego roku, jeszcze za życia ojca i on codziennie rano szedł do publicznej szkoły z książkami jak inni i większą część dnia spędzał na nauce. A do nauki rwał się z całym zapałem chłopięcych swych lat.

Po śmierci ojca, gdy nędza i brak ostateczny zajrzały do skromnego mieszkania wdowy z synem, chłopak dziesięcioletni poczuł się odrazu mężczyzną i jedyną podporą ukochanej matki. Nie chciał dopuścić, aby matkę zabrano do przytułku, jako kalekę nie zdolną do pracy i nie mającą żadnych źródeł dochodu.

— Masz ,mamo, mnie — powiedział twardo, gdy matka tłumaczyła mu, że lepiej będzie dla niego, gdy nią z nim zajmie się jakie towarzystwo dobroczynne.

— Nie chcemy żyć z łaski innych, prawda, mamo? Duży już jestem i mogę pracować. Tymczasem będę choćby gazety sprzedawał po ulicach i zarobię dosyć dla nas obojga. A jak będę starszy, dostanę dobre jakie zajęcie...

— A do szkoły, dziecko moje? — spytała wzruszona kobieta.

— Co tam szkoła, mamo. Pójdę do wieczornej i w domu mogę się uczyć. Przecie Lincoln także nie chodził do szkoły, a jakim był człowiekiem? Od dziecka pracował i sam się uczył. Pozwól mi, mamo, pracować na ciebie...

Biedna kobieta przycisnęła syna do piersi i zgodziła się na jego dziecinne propozycje, myśląc w duchu, że skoro dostanie odszkodowanie od fabryki, w której mąż poniósł śmierć podczas pracy, otworzy jaki mały sklepik, a Stefka znów będzie do szkoły posyłać.

Tymczasem adwokaci owej fabryki jasno i niezbicie udowodnili, że wypadek, który spowodował śmierć jej męża, zdarzył się z jego własnej winy, bo fabryka przecie stosowała wszelkie możliwe środki ostrożności i nie może odpowiadać za to, że ktoś tam, po pijanemu, wpadł w tryby maszyn i dał się poszarpać na strzępy. Znaleźli się świadkowie, którzy pod przysięgą zeznali, że ojciec Stefka w krytycznym dniu przyszedł pijany do roboty i podczas pracy

wypił przyniesioną z sobą butelkę wódki.

Daremnie wdowa przysięgała, że mąż jej nigdy nie pił, że ani po szynkach nie chodził, ani w domu kropli wódki nigdy nie miał. Zeznania świadków fabrycznych były wiarygodniejsze, a kwieciste mowy znakomicie płatnych obrońców fabryki przekonały sąd, że śmierć robotnika nastąpiła z powodu pijaństwa zabitego i wszelkie pretensje o odszkodowanie są nieuzasadnione.

Przedstawiciel fabryki jednak był człowiekiem wspaniałomyślnym i litościwym. Po ogłoszeniu wyroku powstał ostentacyjnie i oświadczył, że w imieniu przedsiębiorstwa ofiaruje wdowie po zabitym robotniku dwieście dolarów zapomogi, a chłopca gotów jest przyjąć do pracy, jako ucznia w przędzalni. Pokiwał dobrotliwie głową sędzia z wysokości swego fotelu, z uznaniem skłonili się szanowni obrońcy i przysięgli, gdy wdowa, cicha i pokorna dotychczas, zerwała się z krzesła i na całą salę zawołała:

— Nie chcę, nie chcę waszej łaski! Nie dosyć, że z winy fabryki straciłam męża, jeszcze plugawicie pamięć uczciwego człowieka! Syna mojego chcecie! Nie! Nie oddam wam dziecka, nie chcę waszej nauki dla niego. Z głodu zginę wraz z synem, a od was nic nie przyjmę. Dajcie mi to, co prawnie mi się należy i odwołajcie oszczerstwo, że mąż mój był pijakiem! Wy...

Służba sądowa wyprowadziła zrozpaczoną wdowę. Sprawa była skończona. Obrońcy rzetelnie zapracowali na swe wysokie honorarja, a świadkowie fabryczni, z których jeden był nadzorcą w oddziale maszyn, gdzie ojciec Stefka znalazł śmierć, drugi zaś starał się o miejsce nadzorcy, zostali przeniesieni do innej fabryki tego samego towarzystwa i otrzymali lepsze i intratniejsze posady.

Stefek został sprzedawaczem gazet. Każdy zarobiony grosz przynosił do domu, a tak się zwijał po ulicach, tak niezmordowanie wywoływał tytuły pism, że zarabiał zawsze więcej, niż inni roznosiciele gazet. Wkrótce doprowadził do tego, że zarobek jego wystarczał na bardzo skromne utrzymanie matki i jego.

A gdy mieszkający w pobliżu mleczarz potrzebował pomocnika do roznoszenia mleka, Stefek pobiegł do starego i przekonał go, że właśnie on, a nie kto inny, najlepiej się nadaje do tej pracy. Mleczarz znał Stefka i jego matkę i od razu przyjął go do roboty.

W godzinach rannych Stefek roznosił mleko i dostawał za to po pięć dolarów tygodniowo. Po południu sprzedawał gazety, co przynosiło blisko drugie pięć dolarów na tydzień. Wieczorami chodził do szkoły, a po przyjściu do domu codziennie długo siedział nad książkami i zeszytami.

Gdy pierwszy raz zobaczył Haneczkę w domu Hardena, nie zwrócił na nią wcale uwagi. Ale, gdy codziennie widział milczącą i śliczną, jak obrazek dziewczynkę, zdjęła go ciekawość, czy to dziecko Hardenów. Zagadał do niej raz i drugi i dowiedział się tylko tyle, że mała nazywa się Haneczka, że jej



Słynni wrotkarze Veronas demonstrują swoje umiejętności.

tata gdzieś poszedł i długo nie wraca i że Haneczka boi się dużego pana.

Po pierwszej rozmowie lody były przełamane. Dzieciak z upragnieniem oczekiwał chwili, kiedy na schodach rozlegnie się wesołe gwizdanie chłopaka. Gdy Stefek wchodził do kuchni, Haneczka już stała w gotowości do podania mu maleńkiej rączki i złożenia prześlicznego „dygu" na powitanie. Opuszczone przez wszystkich dziecko poczuło w nim przyjaciela.

Znajomość tych dwojga istot zamieniła się wkrótce w dziwną przyjaźń. Haneczka niezmiernie była rada, że bodaj raz na dzień ma sposobność poszczebiotać do kogoś oprócz lalki, a Stefek czuł niewypowiedzianą przyjemność w gładzeniu jasnej główki i słuchaniu dziecinnie przekręcanych słów dziecka.

Polubili się tedy ogromnie, a Stefek, chcąc zadokumentować swą przyjaźń, codziennie przynosił Haneczce czy to cukierek, czy małą jakąś zabawkę za parę centów, czy choćby obrazek z niedzielnej angielskiej gazety.

Hołdy te przyjmowała wdzięcznie i znać było, że sprawiają jej wielką przyjemność. Biedne dziecko poczuło serce i sercem płaciło za okazywaną dobroć. Dzień cały tęskniła Haneczka do tych kilku chwil, jakie spędzał z nią Stefek. A gdy, bywało, spóźnił się, dziecko niespokojnie spoglądało co chwilę na drzwi, czy nie pojawi się w nich jedyny jej przyjaciel. Przybiegał zwykle punktualnie o ósmej rano i skoro tylko zegar pokojowy wybił tę godzinę, Haneczka była już w kuchni. A gdy chłopak pobiegł dalej, długo jeszcze wpatrywała się w drzwi, czy nie wróci jeszcze chociaż na chwileczkę. Doszło wreszcie do tego, że w umyśle i sercu dziecka obok postaci ojca, stanęła jeszcze druga, niemniej kochana postać — Stefka.

Pewnego ranka, gdy chłopak jak zwykle przyniósł mleko i dał jakiś drobiazg Haneczce, dziewczynka z całą powagą oznajmiła uradowanemu Stefkowi:

— Haneczka kocha Stefka, jak drugiego tatusia. Pocałuj, Stefek, Haneczkę...

Na słowa te, wypowiedziane z nieopisanym wdziękiem i po dziecinnemu przekręcone, Stefek uniósł dziecko do góry i przyciskając do piersi serdecznie ucałował. Ona zaś, objąwszy rączkami szyję chłopca, przytuliła rozradowaną twarzyczkę do jego twarzy i szeptała:

— Dobry, dobry Stefek. Haneczka bardzo kocha Stefka.

W niewinnych sercach tych dwojga dzieci, niespełna czteroletniej dziewczynki i dwunastoletniego chłopaka, obojga dzieci nieszczęścia, zrodziło się wielkie, szczytne uczucie, uczucie co do poświęceń i ofiar skłania, co radością opromienia życie człowieka, a częstokroć smutków i zgryzot staje się przyczyną — uczucie czystej, serdecznej miłości.

Haneczka nikomu nie mówiła o swym przyjacielu. Chętnie byłaby opowiedziała Grecie o Stefku, ale wyniosła i zimna kobieta odstręczyła dziecko swem szorstkiem obejściem. Hardena zaś Haneczka bała się. W dziecinnej jej główce ugruntowało się podejrzenie, że ten duży pan zabrał i schował jej tatusia i nie chce go oddać, choć widać, jak jej tęskno do niego.

Za to Stefek codziennie rozpowiadał matce o swej malutkiej przyjaciółce i zapewniał, że jak tylko dorośnie i będzie zarabiał dużo pieniędzy, zabierze Haneczkę od Hardenów i koniecznie zrobi ją swoją żoną. Wtedy kupi śliczny domek z ogrodem, gdzieś daleko od miasta, a w domku tym będzie mieszkać razem z mamą i Haneczką.

Uśmiechała się boleśnie na te marzenia Stefka i tuliła do siebie jedynaka, przytakując jego plotkom, a nie zdając sobie sprawy, że z opowiadań Stefka sama pokochała tę nieznaną dziewczynkę, o której syn jej mówił, że jest piękna jak najśliczniejszy obrazek. Nie znała Hardenów i myślała, że ideał jej chłopca jest poprostu córeczką szynkarskiej pary, która nie zbyt troskliwie zajmuje się dzieckiem.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

MARJA REUTT

7)

Zemsta Cyganki

POWIEŚĆ

Opanowuje ją dziwna słodycz i rezygnacja.
Pochyla się i oblewając łzami stopy Chrystusa, szepce w ekstazie: — Zrobię to. Idę...

— — — — — — —

Pociąg osobowy, idący w stronę Nadwórnej, szedł wolno, leniwie, odpoczywając długo na każdej stacyjce, nie zwracając uwagi, że zmrok zapada, że cienie nocy rozpościerają się nad uroczym krajobrazem, nie przeczuwając niepokoju Mścisławy, jadącej drugą klasą i jej niecierpliwości.

Wreszcie sapiąc ciężko i głośno, stanął na małej, leśnej stacyjce, na miejscu przeznaczenia Mścisławy. Była godzina dziewiąta wieczór. Deszcz drobny mrzył, niebo było granatowe, bezgwiezdne, ciemność nocy posępna, niby czarna, tajemnicza otchłań.

Na maleńkiej stacyjce, prócz zawiadowcy i telegrafisty w jednej osobie, oraz dróżnika, ani żywej duszy, bo to piątek, szabas żydowski.

Spytała dróżnika, jak daleko do klasztoru. Podrapał się po głowie, pomyślał i orzekł, że będzie dobrych trzy kilometry przez las i dwa polną drogą.

Pytała o konie.

Niestety, ani zawiadowca, ani dróżnik nie byli w stanie ich dostarczyć. Radzili, by czekała do rana.

Mścisława uśmiechnęła się do siebie.

— Czekać do rana, a tymczasem rano o siódmej szedł powrotny pociąg do Worochty.

— Czekać, gdy życie Horacego wisi na włosku i każda sekunda jest droga.

Opina się szczelnie w gumowy płaszcz i pyta dokładnie o drogę.

Dróżnik i zawiadowca nie wierzą swym uszom.

— Coo? pani odważyłaby się iść o tej porze przez las, przez ten las, kryjówkę bandytów i złodziei?

Potwierdza:

— Idę.

Zaczynają obaj perswadować jej, tłumaczyć grożące niebezpieczeństwo.

— Mogą ją napaść, obradować i nie daj Boże co gorszego zrobić!

Mścisława uśmiechnęła się zagadkowo.

— Nie mnie!

Obaj mężczyźni chcą protestować, otwierają usta, by z nich nie wydobyć ani słowa! Przed nimi, zamiast wysmukłej, eleganckiej panny, stała stara, pomarszczona baba z tobołkiem na plecach i kosturem w ręku.

Raptem i ona znikła.

Przed nimi próżnia. Obydwaj czują dziki, nieopanowany strach. Dróżnik robi znak krzyża. Zawiadowca pociera zwilgotniałe czoło ręką.

Ale oto uśmiecha się do nich urocza twarz Mścisławy, która żegna ich ręką i ginie z oczu, wchłonięta przez ciemność nocy.

Mężczyźni patrzą na nią, jak na niesamowite zjawisko, spluwają na komendę i rozchodzą się do siebie.

Mścisława tymczasem odważnie zapuszcza się w głąb lasu. W lesie panuje ciemność nie przejrzana, utrudniająca drogę. Gałęzie krzewów smagają ją po twarzy, drapią po rękach. Nogi grzęzną w miękkiem torfowisku i bagnie.

W tem od pnia drzewa odrywają się dwa wysokie cienie i idą za nią. Słyszy przyciszone, czające się ich kroki, grzęznące w błocie, zduszony oddech.

Idzie, nie zatrzymując się. Przyciska silnie ręką rozdygotane strachem serce i zbiera całą swą moc w sobie.

Nagle wysoki cień zabiega jej drogę i lampką elektryczną, rzuca swe jaskrawe światło prosto w oczy, oślepiając je.

Mścisława cofa się gwałtownie w tył, ale jednocześnie rozlega się jej śmiech szyderczy.

W kręgu światła latarki puste miejsce. Kobieta zniknęła. Migoce światło latarki dookoła, to strzela w górę, to pełza po ziemi, ale Mścisławy ani śladu....

Drugi drab robi to samo i również bezskutecznie. Tchórze i zabobonni, jak wszyscy zbrodniarze, zlękli się. Nieczysta siła!

Chyłkiem uciekają w bok, w głąb lasu, a Mścisława stoi, oparta o pień drzewa, dysząc ciężko, z oczami rozszerzonemi nadmiernie, z dziwnym wyrazem twarzy, bladej jak płótno. Stoi jeszcze czas jakiś, nadsłuchując, aż kroki ucichły w gęstwinie leśnej.

Wtedy oddycha z ulgą i idzie dalej.

Ogromny, głodny wilk zabiega jej drogę. Świeci głodnemi oczami, szczerzy ostre kły. Mścisława zatrzymuje się wahająca. Ruchem zirytowanym, ręką odpycha nacierającego. Zwierzę cofa się ze zjeżoną sierścią i ginie w ciemności.

Ona idzie dalej przed siebie, potykając się często, z trudem wyciągając przemoczone buciki z rozmokłej ziemi.

Gdy las się skończył i wyszła na pole, na wschodzie szarzało. Deszcz przestał padać. Wstawał ranek pogodny, ale wilgocią nasiąknięte powietrze ziębiło do kości. Zmęczone nogi odmawiają posłuszeństwa, na senne oczy opadają powieki, całe ciało kobiety błaga o odpoczynek.

A tu jeszcze dwa kilometry do celu. Więc wlecze się wolno, ociężale po błotnistej drodze, trzęsąc się z zimna i zmęczenia.

Lecz oto nareszcie przy brzasku dnia ujrzała białe mury klasztorne. Upadająca ze znużenia, ożyła cokolwiek na widok już tak bliskiego celu podróży, nabrała energji.

Już różowa zorza, zwiastun wschodzącego słońca, rozlała swe promienie szeroko na niebie, gdy Mścisława stanęła pod murami klasztornemi.

Spojrzała na zegarek: Wpół do czwartej.

Niezdolna dłużej utrzymać się na nogach, położyła się na zroszoną ziemię u furty klasztornej i odrazu zasnęła snem kamiennym.

* * *

Czwarta godzina. Siostra dyżurna idzie wzdłuż korytarza i wsuwając głowę do każdej celi, woła monotonnie:

— W imię Pańskie, wstańcie siostry.

Obszedłszy cele, biegnie w koniec korytarza i pociąga za sznur od dzwonka.

Odgłos sygnaturki budzi Mścisławę. Otwiera senne oczy, rozgląda się dokoła ze zdziwieniem, ale zaraz przypomina sobie powód, który ją tu przywiódł.

Zrywa się, drżąc z zimna i zmęczenia, pociąga za dzwonek u furty i czeka. Człapanie miękkich pantofli rozlega się po chodniku, zasówka u okienka furty podnosi się, ukazując w niej twarz zakonnicy, poczem zgrzyta klucz w zamku.

U progu furty pyta Mścisława o siostrę Beatę.

Zakonnica, młoda jeszcze, o twarzy spokojnej, jakby martwej trochę, poprawia ją: — Siostrzyczka Beata nie jest zakonnicą, ale tylko próbantką. Mścisława wzrusza ramionami. Co ją może obchodzić różnica między zakonnicą a próbantką? Jej chodzi jedynie o to, by się z Beatą zobaczyć. Poto tylko tu przyszła z bardzo daleka.

Zakonnica waha się, nie wie, co robić.

— Muszę spytać matki przełożonej.

Mścisława chwyta ją za rękę i prosi:

— Siostro, idź zaraz!

Zakonnica kręci głową przecząco i wskazuje jej ławkę pod murem.

— Niech pani wejdzie i poczeka. Nie mogę zaraz iść do matki przełożonej, gdyż jest ona już w kaplicy na modlitwie. — Zamyka furtę. Odchodzi w stronę kościoła.

Mścisława siada na ławce, opiera głowę o mur i patrzy, jak z drzwi budynku wysuwa się korowód sióstr zakonnych, ruchomy, a zastygły w swej pozie

spuszczonych głów i skrzyżowanych na piersiach rąk. Wytężyła wzrok i upatruje Beaty, ale w tej masie jednakowych postaci nie może jej odróżnić.

Już słońce weszło wysoko na niebo, gdy z kościoła wypełzł ten sam długi wąż i znikł w czeluści korytarza.

Czeka. Zdrzemnęła się. Obudziło ją lekkie dotknięcie. To furtjanka przyszła po nią i poprowadziła do rozmównicy, gdzie na białym stole stała filiżanka kawy i kawał bułki, przygotowanej dla niej.

Trzęsącemi się z zimna rękami schwyciła gorący napój z uczuciem wdzięczności.

Drzwi, zamknięte za furtjanką, otworzyły się znowu i stanęła w nich Beata w habicie nowicjuszki, blada, smukła, zeszczuplała. Na widok Mścisławy zatrzymuje się jak wryta. Na jej bladą twarz wybija się mocny rumieniec przykrego wzruszenia.

Mścisława wyciąga nieśmiało rękę.

— Nie poznajesz mnie?

Beata wpatruje się w nią uporczywie i odpowiada z wahaniem:

— Nie wiem co myśleć: Czy stoi przede mną Mścisława Kral, moja koleżanka szkolna, czy też Karina, baronowa Erwig?

Mścisława uśmiecha się smutnie.

— Jestem i tą i tą. Stoi przed tobą i Mścisława Karina Kral i baronowa Erwigowa.

Beata próbuje powstrzymać drżenie, które ją opanowało. Pyta głosem cichym, jakby nabrzmiałym łzami.

— Czego chcesz ode mnie, pocoś tu przyszła?

Mścisława zaciska dłonie na piersiach ruchem bolesnym.

— Przyszłam po ciebie, Horacy bardzo chory.

Beata cofa się i woła z bólem:

— Nie mogę... nie...

Ale Mścisława wpija się w nią gorącemi oczami.

— Musisz. Horacy strzelał do siebie. Kula ominęła serce, ale jest on bardzo chory na zapalenie mózgu i ciągle cię woła. Doktorzy kazali cię przywołać do chorego, inaczej wkrótce umrze. Przyszłam po ciebie, byś jego ratowała.

Beata trzęsie się cała, w oczach jej odbija się bezmiar bólu. Pyta bezradnie:

— Czyż mogę iść do niego?

Mścisława ujmuje ją za rękę:

— Musisz! — Rozkazem brzmią te słowa.

Do rozmównicy wsuwa się zakonnica.

Mścisława zwraca się do niej z prośbą o zaprowadzenie jej do przełożonej. Wychodzą obie.

Beata, zostawszy sama, przyciska dłońmi pulsujące skronie i wpatrzona w krzyż, zawieszony nad drzwiami, jęczy boleśnie:

— Przebacz, o Jezu... ja go tak kocham... tak kocham.

W gabinecie matki przełożonej toczy się ożywiona rozmowa. Zakonnica waha się, widać, że walczy z sumieniem zakonnem, a sercem ludzkiem.

Mścisława prosi, nalega, hypnotyzuje.

Wreszcie zakonnica pociąga taśmę dzwonka, na odgłos którego wsuwa się siostrzyczka zakonna.

— Prosić postulantkę Beatę.

Ze spuszczoną głową i pobladłą twarzą staje Beata przed przełożoną.

— Patrz mi w oczy — pada rozkaz.

Beata lękliwie podnosi swe niebieskie źrenice na przełożoną.

Zajrzały sobie w dusze.

— Czy chcesz iść do niego? — wybiega znów pytanie z ust przełożonej.

Beata osuwa się na kolana, zakrywając twarz rękami, woła wśród łez:

— Chcę...

* * *

Przy łóżku Horacego stanęły obydwie rywalki. Dawna narzeczona i żona obecna. Obydwie młode i piękne, choć różne.

Anioł i demon. Dzień i noc.

Obydwie zakochane, obie ofiarne.

Horacy nieprzytomny powtarza w kółko: „Beato, Beato". Dziewczę klęka przy nim i zimne, drżące usta przytula do jego rozpalonych, niespokojnych rąk. Z oczu jej płyną łzy i spadają mu na ręce.

Pod dotknięciem jej ust jakby przytomnieje. Otwiera oczy i patrzy tępo na pochyloną głowę Beaty z pod opuchniętych powiek.

Jego mętny wzrok powoli nabiera wyrazu, zaczyna w nim kiełkować przytomna myśl.

Rozlega się drżący szept:

— Beato, czy to ty?...

Beata uśmiecha się przez łzy i przytulając policzek swój do jego ręki, odszeptuje:

— Tak, to ja.

Horacy próbuje podnieść rękę, ale jest za słaby. Uśmiecha się tylko i prosi:

— Zostań, nie odchodź.

Beata dotyka znów ustami jego palców.

— Zostanę, najdroższy.

Horacy zamyka oczy i zasypia.

Doktór pochyla się nad nim.

— Zasnął — da Bóg uratujemy go.

* * *

W kościółku u stóp figury Chrystusa skulona, rozełkana tuli się Mścisława.

Przybiegła tu w wybuchu rozpaczy i buntu.

Dobrowolnie oddała Horacego innej. Zrzekła się bezpowrotnie swych praw jako żony, praw niewykorzystanych. I stąd płynie żal, wybuchający niepowstrzymanem łkaniem, które echem rozchodzi się po pustym kościółku.

Z zakrystji ostrożnie wychyla się twarz młodego księdza. Widząc skurczoną, płaczącą postać kobiecą podchodzi do niej, kaszle, chrząka, ale płacząca nie zwraca na niego uwagi, nie odczuwa jego obecności, nie słyszy chrząkania.

Wikary kiwa frasobliwie głową, chrząka, wreszcie nieśmiałym ruchem dotyka jej ramienia.

Mścisława nagłym ruchem zwraca się do księdza, który mówi ze zdumieniem:

— Młoda baronowa!

Mścisława wzdryga się gwałtownie, rozgląda się ze strachem. Ksiądz cofa się, pełen zdumienia.

— Ojcze, broń mnie od siebie samej. Dopomóż mi być dobrą!

Ksiądz robi minę współczującą.

— Czyżby baron czuł się gorzej?

Mścisława odpowiada prędko:

— Nie, czuje się lepiej. To mnie potrzeba pociechy.

Wikary rozkłada ręce.

— Jeżeli to będzie w mej mocy...

Mścisława raptownym ruchem chwyta księdza za rękę i podnosi ją do ust.

Wikary cofa się z zawstydzeniem i woła:

— O, baronowo, co pani robi!

Mścisława nie wypuszcza ręki i skarży się:

— Gdyby ksiądz wiedział...

Twarz młodego księdza nabiera wyrazu powagi i uduchowienia. Siada u stóp figury Chrystusa i wskazuje Mścisławie miejsce obok, która siada posłusznie i ze spuszczoną głową milczy przez chwilę, jakby się mocowała ze sobą, lub nabierała odwagi.

Nagłym ruchem chwyta ręce księdza i ściskając mocno, skarży się:

— O, księże, spełniłam dobry uczynek, pełen zaparcia siebie, a teraz tak mnie serce boli... tak boli...

Wybucha prośbą:

— Ucz mnie swej religji. Mów mi o waszym Bogu. Ja znam tylko tego Chrystusa, u stóp którego siedzimy i kocham Go i wiem, że jest dobry i miłosierny. Więcej nic nie wiem i nie rozumiem. Ucz mnie być dobrą dla samego dobra...

Ksiądz jest przerażony i zaskoczony tem wyznaniem. Nie wie narazie, co odpowiedzieć, gdy następ-

puje nowy wybuch ze strony Mścisławy.

Pochyla się do księdza i mówi szeptem, gorączkowo, jakby nieprzytomnie:

— Księże, ja zabiłam małego chłopca — Stefanka Erwiga, który tutaj na cmentarzu spoczywa. Zabiłam swą myślą, wolą i nakazem i teraz pamięć o nim idzie za mną i boli...

Ksiądz na to wyznanie porusza się niespokojnie. Mścisława uśmiecha się smutnie.

— I ksiądz również odsuwa się ode mnie, pogardza mną.

Odpowiada żywo wikary, trochę zawstydzony tym pierwszym odruchem.

— Myli się pani. Nie mam prawa odsuwać się od ciebie. — Podnosi w górę palec wskazujący ruchem kaznodziejskim. — Jedynie Bóg ma prawo cię sądzić, a On ci przebacza.

Mścisława porusza się żywo.

— I ksiądz w to wierzy?

Ksiądz potrząsa podniesioną ręką.

— Tak, On ci przebaczył, ale musisz pamiętać, że to nietylko obraza Boga, ale również i krzywda bliźniego i błagając o przebaczenie Boga, musisz starać się wynagrodzić krzywdę uczynioną tym grzechem bliźniemu.

Mścisława spogląda na księdza niedowierzająco i pyta głosem zdumionym:

— Czyż prawda może być powetowana? Jakżeż mogę zwrócić rodzicom zmarłe dziecko?

Ksiądz patrzy przed siebie z twarzą natchnioną, oczami pełnemi uduchowionych blasków.

— Naturalnie, że przywrócić rodzicom do życia istoty umarłej nie jesteś w stanie, ale możesz starać się użyć ich strapieniu, pomóc im dźwigać swój krzyż ciężki i raniący...

Zapada milczenie. Oboje mają w duszach spokój niemal nieziemski. Obojgu wydaje się nagle to życie takie proste, a jednocześnie skomplikowane, takie piękne, a również i takie czarne i smutne, bo ludzie nie chcą, czy nie umią odczuć nakazów bożych.

ROZDZIAŁ XI
Wynagrodzona krzywda

W malutkiem mieszkanku p. Miniewskiego, nauczyciela szkoły ludowej w Kętach, krząta się przy pracy pani Miniewska.

A pracy ma dużo. Opranie, obłatanie, obszycie czworga dzieci, domowe gospodarstwo i wieczna troska o pieniądze, to zadanie nawet za ciężkie na barki jednej kobiety.

Nic też dziwnego, że pani Miniewska, choć młoda jeszcze, ma wygląd zwiędłej róży.

W ciasnej kuchence pod oknem siedzi przy stole najstarsza jej córka Ludka, odrabiając zadania szkolne. Uczy się w szkole wydziałowej w pobliskiem miasteczku.

Uderzająco podobna do matki, jasna blondynka, twarz ma smutną, twarz dzieci chowanych w stałej walce o byt i w niedostatku.

Przy kominie, na którym gotują się kartofle na wieczerzę, bawi się lalką najmłodsza Zosia.

Chłopcy poszli łowić ryby, w rzece, co płynie poza wsią.

Kartofle bulgocą, rozpryskują wodę, ogień trzaska, syczy blacha.

Blada kobieta krząta się cicho i sprawnie, spoglądając raz po raz na uczącą się córkę z miłością i dumą, to gładząc po główce najmłodszą pociechę rodziny.

Kartofle ugotowane, słoniną polane, czekają na domowników. Podchodzi do córki i delikatnie dotyka jej ramienia. Dziewczynka podnosi jasną główkę z nad kajetu i zmęczonemi oczyma spogląda na matkę.

— Zaraz skończę, mamusiu.

Szybko biega pióro po papierze, jeszcze szybciej pracuje myśl dziecka.

Wreszcie skończone. Wysusza bibułą mokre litery, i z uczuciem ulgi składa zeszyty do tornistra.

Razem z matką nakrywają do skromnej kolacji, złożonej z kartofli i zsiadłego mleka oraz kawałka razowego chleba.

Ojca i chłopców jeszcze nie widać.

Siadają na ławce, obie znużone i stroskane.

Na twarzy dziewczynki widać nieśmiałe wahanie, chęć prośby jakiejś i niepewność, jak ona przyjętą będzie.

Mnąc fartuszek zaczyna nieśmiało:

— Krzyżanowskie chwaliły się w szkole, że będą miały zrobione nowe białe sukienki do Komunji. A czy i ja nie mogłabym mieć również białej sukienki... — błagalna prośba brzmi w głosie dziewczynki, drobne rączki zaciskają się.

Matka wzdycha smutnie, ale przecząco.

— Nie dziecko, nie mogę ci kupić nowej sukienki w tym roku. Wydaliśmy z ojcem wszystkie odłożone pieniądze na buciki dla ciebie i chłopców i na książki dla Staśka.

Wargi dziewczynki zaczynają drżeć, broda trząść się i łzy strumieniem płyną jej z oczu.

Matka udaje, że nie widzi tego. Podnosi się z ławki i idzie do pokoiku t. zw. dla gości. Stoi tam stół nakryty szydełkową serwetą, komoda, szafa, fotel odrapany, kilka krzeseł i parę wazoników pelargonji i fuksji.

Drżącemi rękami wyciąga dolną szufladę komody i wyjmuje z niej starannie zawiniętą ślubną swą suknię, zrobioną z taniego białego rypsu.

Rozwiązuje paczkę, rozkłada suknię na stole i przygląda jej się z rzewnym uśmiechem.

— Boże, jak to dawno już temu, piętnaście lat, gdy w letni dzień czerwcowy pomagały jej druhny ubierać ją.

Z tkliwością gładzi ręką fałdy, przygląda się, czy mole jej nie uszkodziły. Chowała tę suknię na srebrne wesele, ale wobec łez córki postanowiła przerobić ją na sukienkę do Komunji.

* *

Już północ dawno minęła, już wszystkie koguty w całej wiosce przepiały, a w cichym, ciasnym domku nauczyciela świeci się w oknie pokoju gościnnego w sali szkolnej. To nauczyciel poprawia zeszyty uczniów na dzień jutrzejszy, to pani Miniewska szyje córce sukienkę do Komunji św. przy świetle małej lampki naftowej.

Ale oto światełko, płynące na drogę ze szkoły, zgasło. Nauczyciel poszedł do siebie na spoczynek. Zdjął obuwie w kuchni i wsunął się do pokoju. W ręku trzyma kałamarz i kilka książek. Twarz ma szlachetną, ale pooraną przedwczesnemi zmarszczkami, głowę przyprószoną siwizną, plecy zgarbione.

Zbliża się do żony. — Czemu nie śpisz jeszcze? W głosie czuć lekki wyrzut.

Uśmiecha się do męża smutnym, rzewnym uśmiechem.

— Szyję sukienkę dla Ludki.

Mężczyzna przygląda się materjałowi i na twarzy jego ukazuje się ból.

Kładzie żonie rękę na ramię, z ust wyrywa mu się skarga.

— Jak mogłaś! Toż to twoja ślubna suknia. Ona kiwa głową i bierze jego rękę w swoje:

Ludka tak bardzo pragnęła białej sukienki. Wszystkie jej koleżanki będą w bieli...

Nie przekonuje to męża.

— Twoja jedyna, najlepsza suknia, pełna wiązanych z nią wspomnień...

Kobieta przytula rękę męża do swej twarzy.

Oczyma wspomnień, widzą oboje malutki dworek ekonomski, ginący w krzakach bzu i czeremchy, pełen ludzi, gwaru, dźwięków muzyki. Widzą siebie samych, stojących wśród krzaków bzu. Z okna bucha światło, płynie muzyka, śmiech i gwar, a oni przytuleni do siebie, słuchają śpiewu słowika, piją zapach bzu i czeremchy, wsłuchują się w bicie swych serc młodych, rozkochanych, roją plany przyszłości... (Ciąg dalszy nastąpi).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

ZACHĘTA DO DALSZEJ PRACY

„Zenia z lasów". Wierszyk, przeznaczony dla mnie, schowałam sobie na pamiątkę. Ślicznie za niego dziękuję. Utworek: „Szczęśliwa", dość miły, zamieszczam go niżej i zachęcam Cię, Kochanie, do dalszej pracy nad sobą.

Pozdrowienia p. Józefowi Wilińskiemu z okolic Mławy i „Elżuni z Torunia" — przekazuję.

SZCZĘŚLIWA

Z wiosną w sercu i z rozkoszą
Chcę ukochać cały świat,
Wszystkich smutnych chcę wyzwolić
Od udręki tęsknych lat.
I chcę zebrać małą dłonią —
Cały świata ciemny ból,
Bo w mem sercu ogień płonie,
Płomień szczęścia z rajskich pól.

„Zenia z lasów."

POZDROWIENIA Z POMORZA

„Francis", jest to młody handlowiec, pracujący w małem miasteczku na Pomorzu. Przesyła miłe pozdrowienia Pałuczankom i Pałuczanom. Osobne pozdrowienia — „Zbłąkanej Gwiazdeczce" — „Cygankom" — „Gwiazdeczce" i „Śnieżyczce" oraz „Wandzi z B."

RZUCIŁAŚ MIĘ...

Nigdy nie Zapomnianej...

Rzuciłaś mię... Nie chcę Cię kląć przedwcześnie,
mimo, że Twój kaprys niszczy życie me,
szczęśliwą bądź! Idź w drogę swą... bo dla
mnie szczęście już nie wskrześnie,
mnie został grób, co wiecznem zimnem tchnie...

Rzuciłaś mię... Choć kocham Cię szalenie
i byłaś jak kwiecie z chłopięcych moich łąk.
jam oddał Ci serce całe i cudne,
pierwsze swe marzenie,
bom wierzył w to, że jeszcze jesteś pąk....

Choć smutno mi i serce się rwie w strzępy,
a ból bezlitosny rozpaczą dławi mię,
przemogę się!... Zapomnieć chcę!... i na ból
będę głucho - tępy,
nie pozna po mnie nikt, że jest mi bardzo źle!...

Rzuciłaś mię... złamałaś kwiat miłości mej
przejaznei
swawolnem szyderstwem trysnęłaś mi dziś
w twarz...
Idź w drogę swą!... Szczęśliwą bądź!...
Ufaj swej doli barwno - krasnej
dziewczyno zła, która na sercach grasz....

Lecz przyjdzie dzień — mrok tęsknot Cię otoczy,
napróżno ramiona wyprężysz w złoty łuk — —
ja będę hen!... daleko stąd!... napróżno wytężysz
w dal oczy...
ja będę tam — dokąd mię wezwie Bóg!...

Marych Bińkowski.

POZOSTAJE MI JEDNO...

„Samotny Sokół" pozdrawia: „Łobuza w spódnicy", — „Dziewczę z Kujaw" — „Mała Ptaszynę" — „Dziewczynkę z Bydgoszczy" i innych Sympatyków.

Życzenie załatwione. Pozostaje mi więc teraz jedno: oczekiwać z dnia na dzień, na ten zapowiedziany dłuższy list.

ZA WZRUSZAJĄCĄ PAMIĘĆ

„Dwie Siostrzyczki". Najserdeczniejsze podziękowania w imieniu całej Redakcji — ślę za wzruszającą pamięć.

PROSZĘ O ADRES!

„Nimfę" proszę o nadesłanie nowego adresu, gdyż listy wysłane na stary — wróciły z dopiskiem: „adresatka zmieniła miejsce zamieszkania"

DLACZEGO?

„Wiślana Fala". Dziękuję Pani z głębi serca za słowa uznania dla mej pracy. Będą one bodźcem do dalszego zjednoczenia się z moimi Sympatykami i Przyjaciółmi.

Dlaczego Pani ogranicza się zawsze tylko do pocztówek? List od Pani, choć najdłuższy, potrafiłby mnie bardzo zainteresować — proszę. niech Pani o tem pamięta.

Czy jeszcze nie otrzymała Pani żadnego znaku życia od „Rybaka z Helu"? Mam wrażenie, że tak...

CZY ISTNIEJE?

„Chryzolik". „Straciłam już zupełnie wiarę w ludzi"... skarży się Pani w liście. Widocznie dużo Pani doznała od ludzi przykrości, stąd więc to zwątpienie. Jakże ucieszyłabym się, gdyby zmieniła Pani kiedyś zdanie i napisała mi, że jednak są na świecie ludzie dobrzy, którzy nigdy nie kierują się złemi instyktami, lecz w każdym człowieku widzą brata.

Jest Pani kobietą młodą, wrażliwą o subtelnej duszy — czy istnieje w „Kraina" druga podobna? Jeżeli tak, niech nastąpi porozumienie bratnich dusz.

KRÓTKA ODPOWIEDŹ NA DŁUGI LIST

„Lotnik z Pomorza". Krótka będzie moja odpowiedź na Pański długi list: niech Pan pisze do mnie jak najczęściej z tą myślą, że pisze do osoby przyjaźnie usposobionej. Oprócz tego, myślę, że postara się Pan o nawiązanie skimś korespondencji, tylko z tem, że Pan pierwszy do kogoś napisze. Serdecznie pozdrawiam.

CZY ZADOWOLONA PANI Z WYBORU?

„Celina". Za szczere, serdeczne życzenia — bardzo Pani dziękuję. Tak samo za słowa uznania, skierowane pod moim adresem.

Do „Rodzinki" przyłączam Panią z miłą chęcią. Widocznie zapomniała Pani o pseudonimie, sama więc go Pani wybrałam. Czy zadowolona Pani z tego wyboru? Proszę mi o tem donieść, dobrze?

ZACHĘTA I... CAŁUSY

„Leśna Sarenka" przesyła „Polnej Myszce", moc ucałowań, tak samo: „Wiewiórce" — „Kustoszowi" i „Maleńkiemu Jurkowi".

Równocześnie donosi „Majowemu Chrabąszczowi", że prośbie Jego zadość uczynić nie może, zachęca Go jednak, aby pierwszy skreślił liścik.

CO ZMARTWIŁO I PRZYGNĘBIŁO?

„Złoteńko". Jakże cię cieszę, że nareszcie znalazła Pani „odrobinę natchnienia" i napisała do mnie. Mało, przesłała mi nawet kilka zdjęć. Wszystkie bardzo ładne. Jeżeli będzie Pani sobie życzyła, możemy fotografję Pani zamieścić w „Krainie".

„Skończyły się wreszcie kłopoty i przeróżne niepowodzenia..." Zaciekawiła mnie Pani i urwała, podczas, gdy ja tak bardzo chciałabym się dowiedzieć, co tak bardzo martwiło i gnębiło radosne zawsze „Złoteńko". A może sprawy sercowe wchodzą w grę? I chciałaby Pani zachować dyskrecję? Jeżeli tak — kapituluję i nie nalegam więcej. Pozdrawiam Panią tylko serdecznie i czekam na nowy liścik.

„WIECZORNE GODZINY — NASUWAJĄ MI RÓŻNE WSPOMNIENIA"

„Wesoła Kaziutka" przesyła kilka miłych słów, nieznanemu nam jeszcze bliżej, p. Władkowi:

„Milutki Władku!" Długie, wlokące się godziny wieczorne, nasuwają mi różne wspomnienia z niedalekiej przeszłości. Między innemi wspominam mile spędzony wieczór na dancingu. Przesyłam Ci, „Milutki Władku", pozdrowienia i zarazem prośbę, abyś zechciał przyłączyć się do naszej wielkiej „Rodzinki".

CO PISZE O SOBIE PEWNE, BARDZO MIŁE STWORZONKO

„Tycio-Tyciusieńka" musi być szalenie miłem i rezolutnem stworzonkiem. O sobie pisze tak: „Jestem malutka, czarniutka, pulchniutka. wesolutka, skromniutka i pono zdolniutka. Ponadto jestem jubilerką i chcę koniecznie zaręczyć się pierścieniem własnoręcznie, artystycznie wykonanym. A przedtem jeszcze nawiązać szczerą korespondencję z Czytelnikami „Moich Powieści" o zacnym charakterze.

APEL DO „SMUTNEGO EDKA"

„Złotowłosa Haluś", nowa Sympatyczka „Krainy", przedstawia się, uwaga więc:

„Jestem blondynką, szczupłą, wesołą, pełną humoru i ochoty do życia, pomimo bólu i zawodów, których miałam bardzo dużo. Lubię śpiew, muzykę, taniec, kwiaty i... sympatycznych pełnych werwy i humoru panów.

A teraz apeluję do „Smutnego Edka", aby do mnie napisał, gdyż pragnę do Jego smutnego życia wnieść dużo radości."

DECYDOWAĆ MUSISZ SAMA

„Ryśka." W sprawach sercowych, Kochana „Rysiu", musisz decydować sama. Jeżeli starający się o Ciebie mężczyzna, jest człowiekiem zrównoważonym i dobrym, jeżeli go kochasz co jest bardzo ważne, powinnaś sama wiedzieć jak postąpić. Byłoby także wskazane, abyś o wszystkiem powiedziała Ojcu, jeżeli już nie masz matusi. Jest On dla Ciebie najbliższą osobą na świecie, więc powinien dzielić wszystkie tajemnice Twoje. Nie zwlekaj więc, zwierz się szczerze Ojcu, a napewno i On dopomoże Ci swoją doświadczoną radą przy najważniejszym wyborze w życiu. Napisz mi znowu, „Rysiu", czy moja rada została wprowadzona w czyn i czy sprawa posunęła się już naprzód.

UWAGA! MIŁOŚNICY FILMU

„Anielcia H" i „Maryśka P", dwie młode Ślązaczki, wstąpiły w szeregi Sympatyków „Krainy" i przedstawiają się kolejno:

„Anielcia P." jest szatynką o szarych oczach. Lubi bardzo sport. W lecie jeździ rowerem. a zimą na łyżwach. Oprócz tego bardzo lubi czytać „Moje Powieści".

„Maryśka P." to brunetka, średniego wzrostu o oczach czarnych. Uwielbia również sport, teatr i „Moje Powieści".

Obydwie te Panie przesyłają pozdrowienia: „Zaczarowanej Cyganeczce" — „Nimfie" — „Steni i „Marysce" oraz „Szaremu Wróbelkowi". Pozatem piszą, że nic ich tak nie ucieszy, jak miły list od jakiegoś zwolennika filmu, gdyż kino także bardzo je interesuje.

PŁYŃ PIOSENKO...

Sympatycznemu — „Te-Em“.

Płyń, piosenko ma radośnie,
Płyń, gdzie mieszka On —
Zagraj, piosnko, mu miłośnie
Na przecudny ton...
Jak tęsknota mnie kołysze,
Kiedy imię jego słyszę —
Powiedz — piosnko ma.

Płyń, piosenko smutna, rzewna,
Płyń, gdzie mieszka On —
Szepnij czule do serduszka,
Uderz w słodki toń:
Że tęsknotą dni swe znaczę
I, że życie me rozpaczą —
Powiedz, piosnko ma.

A gdy wrócisz, piosnko, echem,
Całą gamą szczęścia, śmiechem,
Całą siłą mej tęsknoty,
Głos twój zabrzmi na ton złoty —
Smutna piosnko ma.

„Biała Uajali“.

„NAPISZCIE DO MNIE“

„Dzina“ puka do poetyckich serduszek: „Puk... puk! Czy nie poświęciłby mi ktoś choć krótkiego wierszyka? Pewna jestem, że mili Sympatycy nie odmówią mej prośbie, więc naprzód zasyłam serdeczne podziękowania i wdzięczny uśmiech.

Pozatem proszę bardzo o miłe listy. Napiszcie do mnie! Wieczory zimowe długie i chociaż pracy w czasie nich nie brak, to jednak chciałoby się z kimś pogwarzyć i podyskutować.

„Jadzce z Kujaw“, „Dzince“ i „Optymiście Sir“ — zasyłam miłe pozdrowienia.“

DZIĘKUJĘ!

„Rom-Mar.“ Ostatnio nadesłany wiersz pod tyt.: „Gdy pada grom...“, będzie wydrukowany w „Krainie“, gdyż nie posiadamy odpowiedniej kliszy, aby go zamieścić na okładce.

Listy Pana nigdy mnie nie nudzą, więc niech Pan nie robi sobie żadnych skrupułów, pisząc do mnie. Czy odtąd tak będzie?

Numery okazowe wysłała już administracja pod podany adres. Dziękuję Panu serdecznie za propagowanie naszego tygodnika i zamieszczam niżej Pańskie „komunikaty“:

„Lilko, „Romantyczna Szatynko“ i „Eżechelo“! Bardzo dziękuję Wam za pozdrowienia i odwzajemniam je mocnymi uściskami dłoni. Panie, które się mną interesują, niech śmiało napiszą, a możliwe, że zawrzemy pakt wzajemnej pomocy i gawęd listownych.

Panno „Lilko“! z zasady nigdy pierwszy nie piszę, nawet gdybym m u s i a ł! Proszę więc nie zniechęcać się i napisać pierwsza.“

BARDZO CHĘTNIE

„Bojownik“. Życzenia noworoczne, przesłane przez Pana, sprawiły mi dużo zadowolenia.

Bardzo chętnie apeluję w imieniu Pana do „Ślicznotki“, aby przesłała Panu kilka słów, jako zachętę do nawiązania korespondencji. Czy „Ślicznotka“ zareaguje na apel miłemi słowami?

APEL O ADRESY

O adresy, celem przesłania listów, znajdujących się w redakcji są proszeni: „Smutny Edek“, — „Sarenka czarnooka“ — „Sybilla“ — „Gwiazdeczka“ i „Śnieżyczka“ — „Arabka“ — „Młodziutka Ari“ — „Sportsmenka“ — „Zapomniana Marguerita z Chełmna“ — „Halszka II“ — „Iwonka“ — „Smyk“ — „Hord“ — „Jurek z Bydgoszczy“.

ZAŁATWIŁA ADMINISTRACJA

„Smutna Haneczka.“ Sprawę, należytego dostarczania Pani „Moich Powieści“ — załatwiła administracja. „Sztubaczka“ nie nazywa się tak, jak Pani podała. Serdecznie pozdrawiam i czekam na zapowiedziany list, który niewątpliwie zainteresuje mnie bardzo.

ZAWIADOMIENIE

„Rom-Mar“ ma list na poste-restante od „Halinki“.

CZY NADESŁANY WIERSZ JEST SAMODZIELNYM UTWOREM?

P. Klara Sch. Otrzymałam od Pani bardzo piękny wiersz: „Zacisze“. Sądząc jednak po ortografji, wiersz ten nie jest samodzielnym utworem Pani. Chyba się nie mylę? Czekam na wyjaśnienie.

KILKA LUŹNYCH MYŚLI

„Kwitnący Wrzos“, jedna z Sympatyczek „Krainy“, rzuciła w swoim ostatnim liście kilka luźnych myśli. Ponieważ są one dość głębokie przedrukowuję je niżej:

„Poco się smucić? Życie jest samo w sobie bardzo smutne, trzeba więc cieszyć się temi radościami, które nam rzuca każdy dzień.

Te małe chwile radości są bardzo cenne tylko są tacy, którzy nie potrafią ich wykorzystać.

Wszyscy jesteśmy spragnieni większej nagrody za smutki dawne i niezasłużone — ale to przecież takie ludzkie. Nie powinno nas rozgoryczać, nawet daremne oczekiwanie.

Trzeba zawsze starać się zaprowadzić w umyśle pewien ład myślowy i stworzyć sobie spokój w życiu osobistem.

Przedewszystkiem zaś, nie wymagać nigdy od życia za dużo...

Czy w „Krainie“ jest ktoś taki, co myśli podobnie?

Chciałabym skimś korespondować — skimś naprawdę smutnym, gdyż pragnęłabym go utwierdzić, że życie jest piękne, cudownie piękne!

Szczególną sympatję żywię dla „Jadźki z Kujaw“. Kocham ją za jej cudowne poezje. Ślę jej moc serdecznych pozdrowień.

Łączę również milutkie pozdrowienia dla „Słodkiej Psyche“ — „Dumnego Jelenia“ — „Dumnego Lwa“ i „Giaura“.

„CZY ZNAJDĘ?“

„Samotny Agronom“. Jeżeli nie dałam Panu odpowiedzi w „Krainie“, to znak, że list nie doszedł do moich rąk, w przeciwnym bowiem razie, nie pominęłabym milczeniem Pańskich słów.

Bardzo chętnie spełniam życzenia Pana i zamieszczam w dzisiejszej odpowiedzi apel o listy:

„Sympatyczne Czytelniczki „Moich Powieści“ proszę bardzo o nawiązanie ze mną korespondencji. Mieszkam na wsi, gdzie jestem na posadzie urzędnika gospodarczego. Czuję się bardzo osamotnionym, gdyż brak mi tutaj odpowiedniego towarzystwa?

Czy znajdę więc duszę szczerą, której mógłbym się w mej samotni nieraz zwierzyć?

KTO SPEŁNI PRAGNIENIA?

„Zdobywca serc“, wysoki, zgrabny blondyn o przenikliwym wzroku i „Syn marnotrawny“, szatyn o romantycznej naturze, zakochany w muzyce i poezji — pragną poznać miłe Panie. Oczekują na pierwszy, ciepły liścik.

NIE MOGĘ ZAMIEŚCIĆ

„Amerykanin“. Wierszyka „Przeszłość“ — nie mogę zamieścić, gdyż niema on nic wspólnego z poezją. Jedyną radą jest przesłanie go listownie osobie, której został poświęcony.

Za pozdrowienia dziękuję, ślę ich Panu również moc.

BĄDŹ ZAWSZE WESOŁĄ!

„Ryśka D.“ Zatęskniłaś już za mojemi słowami? A więc przesyłam Ci ich kilka.

„W sklepie u nas wszystkie panienki mówią, że je rozweselam“... Kochanie i mnie sprawiasz dużo radości swoimi listami. Pomimo smutnych przejść zachowałaś przedziwną pogodę, oby Ci jej nic nie zdołało zgasić i wydrzeć! Czy wiesz, „Rysiu“, że taka pogoda, to wdzięk każdej młodej panienki? Często radosne usposobienie więcej ujmuje i zjednuje ludzi, niż najpiękniejsza twarz. Wierz mi! Nie tamuj więc swoich uczuć, bądź zawsze wesołą i uśmiechniętą, a jeszcze więcej ludzi będzie Cię kochało. Bywaj!

ZAŁATWIŁAM

„Fakir“. Długo nie dawał Pan o sobie znaku życia, aż nareszcie... list z wytłumaczeniem i bardzo miłą fotografją. Wygląda Pan na niej naprawdę tajemniczo, przysiąc by można, że istotnie jest Pan jakimś fakirem, tworzącym cuda.

Sprawę zmiany adresu załatwiłam Mam wrażenie, że odtąd będzie już pisał Pan częściej, jak poprzednio. Czy tak?

„PANTA REI“

„Ben-Ali“. Kilka miłych słów, rzuconych na mi arkusik, uradowało mnie bardzo Widzę, że naprawdę „Moje Powieści“ są dla Pana czemś drogiem i to mnie niewymownie cieszy.

„Wszystko, co piękne szybko przemija, zostawiając po sobie jedynie miłe wspomnienia“... tak, ma Pan rację. „Panta rei“ — w tych dwóch krótkich słowach można zamknąć długie ludzkie życie.

SREBRNE ECHO

Przyszło dziś do mnie jakieś srebrne echo,
Trąciło struny drzemiące w mej duszy,
Zginęło potem — odeszło z pośpiechem,
Ażeby nie być świadkiem moich wzruszeń.

I wiem, że teraz przyjdzie do mnie częściej.
— Przyjdzie w godzinie, gdy się serce smuci.
I znowu w duszy odezwie się szczęściem,
Które odeszło, by kiedyś powrócić.

Jadźka z Kujaw.

Teczka Wujka Janusza

PODAJĘ PANU DŁOŃ

„Lawrence“. Dawno już, nie przesłał mi nikt tego rodzaju listu, co Pan. Nie chodzi Panu o krytykę wierszy lub innych utworów, jedynie o kontakt korespondencyjny i przyjaźń... A więc dobrze, podaję Panu moją dłoń na znak zgody i serdecznie zapraszam do wymiany myśli.

Wyobrażenia Pana o mnie są mniejwięcej trafne. Dobry psycholog z Pana — winszuję!

PROSZĘ O NADESŁANIE ADRESU

„Medyk z Lwowa“. Nadesłane wiersze dość miłe ale jeszcze nie jestem zupełnie z nich zadowolony. Brakuje im miejscami wykończenia i odpowiedniego poloru, pozatem razi miejscami styl. Może Pan posiada więcej wierszy? Jeżeli tak. proszę mi je nadesłać, abym mógł coś konkretniejszego powiedzieć o literackich zdolnościach Pana. „Może kto zainteresuje się mną i napisze parę słów“... Sądzę, że tak. Warto. Wierzę, że umiałby Pan interesująco i miło poprowadzić korespondencję. Proszę tylko Pana o nadesłanie dokładnego adresu, abyśmy wiedzieli, dokąd przekazać listy.

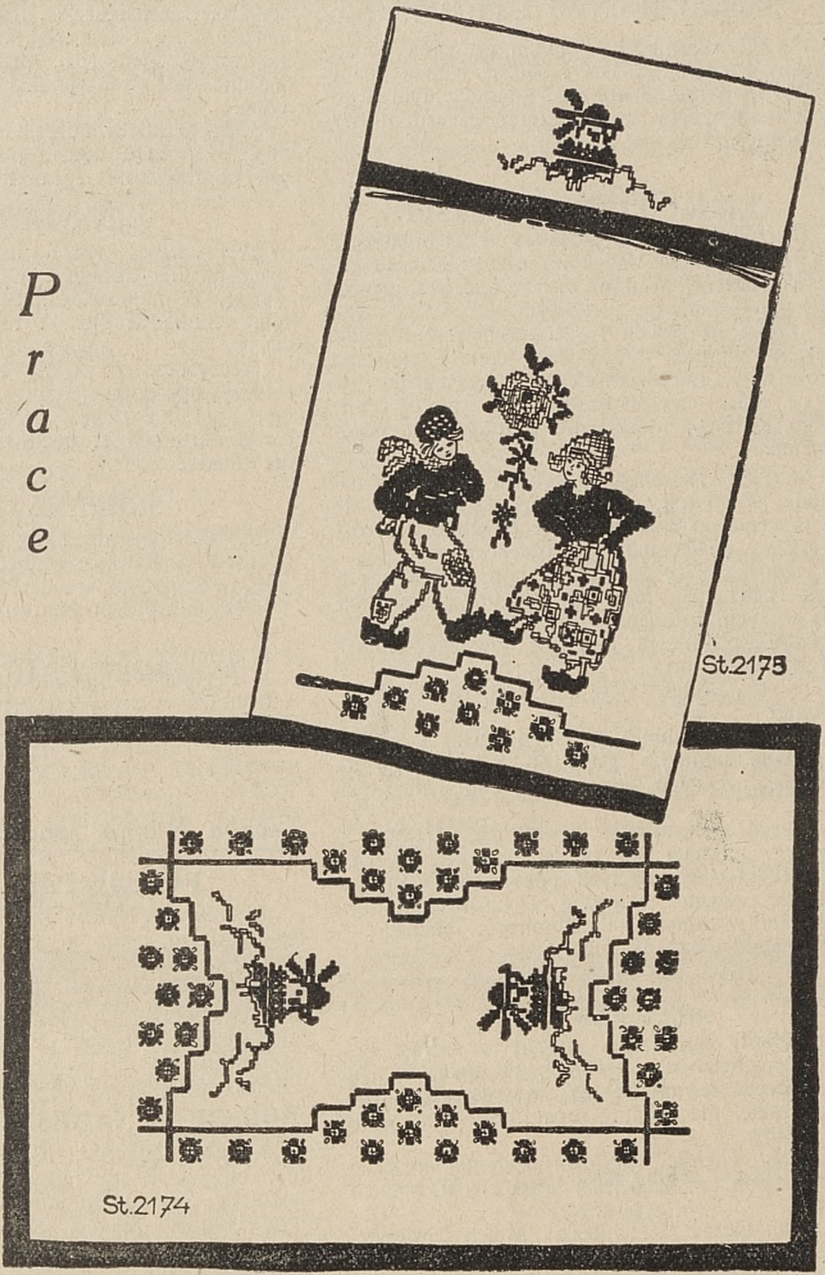
ODPOWIEDŹ NA BARDZO SMUTNY LIST

„Maleńka Dzidzi.“ Twój piękny lecz smutny liścik, zawsze Wesoły Chochliku, odczytałem z dziwnem wzruszeniem. Charakterystyczne literki, stawiane rączką „Maleńkiej Dzidzi“, składały się zawsze w jakieś radosne, dowcipne słowa, a tym razem złożyły się w rzewne refleksje i pełne łez zdania. Smutno Ci i szaro, mała, dobra Dziewczynko? Nie uwierzysz, jak bardzo chciałbym Ci pomóc, przyjść z pociechą. Rozumiem Cię najzupełniej. Kiedyś. bardzo już dawno, życie dało mi taką samą niespodziankę, jak Tobie. Cierpiałem, szamotałem się bardzo długo z bólem, aż wreszcie przyszły dni wyzwolenia. Spotkałem w drodze, nowe szczęście, nowy cel i odtąd w duszy mej nastąpiło wielkie ukojenie i równowaga. Tak samo będzie z Tobą, Maleńka. Te dni, które przyjdą, przyniosą Ci z sobą ukojenie i zapomnienie, a z przeszłości pozostaną Ci tylko wspomnienia. Jak jaskółka powraca zawsze do swego gniazda, tak myśl Twoja uleci jeszcze nieraz, do pięknych chwil, prędko zgasłego szczęścia, ale nie sprawi Ci już bólu ni żalu, tylko na chwilę upoi dobremi wspomnieniami.

Wytrwaj więc w złem i wierz mi, że ono minie!

Raj kobiet

Prace krzyżykowe



Wzory powyższe (Lyona) St. 2174 i St. 2175 można nabyć w naszej administracji, za poprzedniem nadesłaniem 2,50 za sztukę przez P. K. O. 207 393.

DOBRA GOSPODYNI

Sałata z ziemniaków ze śledziem i szynką.

Kilo ziemniaków ugotowanych w łupinach, pokrajać w drobną kostkę i zmieszać z trzecią częścią tej ilości obranych i pokrajanych w kostkę kwaśnych jabłek. Dodać dwadzieścia deka szynki gotowanej, drobno pokrajanej i dwa śledzie, również drobno pokrajane. Zalać sałatę obficie sosem majonezowym i włożyć do głębokiej salaterki, przykryć i przechowywać w chłodnem miejscu do użycia. Podać ją najwcześniej w 24 godziny po przyrządzeniu, obłożoną cienkiemi plastrami szynki gotowanej i posypaną zielonym koperkiem. Oddzielnie podać majonez w sosjerce.

Sałata z resztek drobiu i cielęciny.

Resztki mięsa pokroić w kostkę lub paski. dodać jarzyn z rosołu, parę jabłek, ziemniaków, ogórków, włoskiej kapusty (surowej) pokrojonej cienko — i zaprawić to wszystko sosem majonezowym lub śmietaną z musztardą i roztartem żółtkiem, ugotowanem na twardo. Z sosu od cielęciny zrobić galaretę, wyrzucić ją na okrągły półmisek, pokryć ją sałatką, polać jeszcze raz sosem i ubrać ładnie pokrojoną galaretą lub kawałkami mięsa maczanemi w sosie majonezowym.

Najciekawe audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 9 lutego 1936 r.

9.00 Audycja poranna 12.15 Poranek symfoniczny 14.00 „Hanka" — fragment z powieści R. Tuszowskie 14.20 „Cyganerja" — Giacomo Pucciniego I. Akt 15.00 Godzina rolnika 16.00 „O czarnej Republice" pog. 16.15 Serenada op. 25 Beethovena 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna 17.40 Wileńska migawka regjonalna 18.00 Recital skrzypcowy Lili Hakowskiej 18.30 „Goście na wiecu" — słuchowisko oryginalne 19.40 Wiadomości sportowe lokalne 19.45 „Co czytać" — nowości literackie 20.00 Nasza marynarka gra 20.45 Wyjątki z pism J. Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 „Dar Pomorza na wyspach hawajskich" — feljeton 21.45 Wiadomości sportowe ze wszystkich rozgłośni 22.00 Koncert muzyki tanecznej W przerwie około godz. 22,30 — 22,35 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen.

Poniedziałek, dnia 10 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik poludniowy 12.15 Po jednej piosence 13.00 Koncert d-moll — Wieniawskiego 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Koncert zespołu Wiktora Tychowskiego 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Muzyka lekka 16.45 „List" — wesoły skecz Ig. Kraszewskiego 17.00 Zasłużone kobiety — pogadanka 17.15 Minuta poezji 17.20 Recital fortepianowy 17.50 Tajemnice i dziwy regeneracji 18.00 Z pogodnych pieśni St. Niewiadomskiego 18.30 Listy od dzieci 18.55 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Rewja gwiazd filmowych 20.25 Transmisja z Budapesztu fragmentu Koncertu Symf. 21.30 Dziennik wieczorny 21.40 Obrazki z Polski współcz. 21.45 Literacki wieczór morski 22.15 Muzyka taneczna W przerwie o godz. 22,30—22,35 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen.

Wtorek, dnia 11 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Bandera polska na Bałtyku" — aud. dla szkół 12,30 Muzyka lekka 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka lekka 16.00 Skrzynka PKO. 16.15 „Nastroje zimowe" — koncert 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „Myślące maszyny" — odczyt 17.15 Recital Mieczysława Szaleskiego 17.50 Skrzynka językowa 18.00 „Olimpjada tenorów" 18.30 Książka w dwóch miastach 18.55 „Co to jest giełda" — pogadanka 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Koncer symfoniczny z Łodzi W przerwie około godz. 20.50 Dziennik wieczorny, oraz Obrazki z Polski współcz. 22.30 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen 22.35 Lecznicze stosowanie witamin — pog. dla lekarzy 22.50 „Teatry w Polsce" — odczyt w języku francuskim 23.10 Muzyka tan.

Środa, dnia 12 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Bibljoteka domowa" — pogadanka 12.30 Wielkie potpourri z melodyj Jana Straussa 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka salonowa 16.00 Wędrówki dookoła globu — pogadanka dla dzieci 16.20 Koncert na obój i fortepian — Goossens'a 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 „Urok naszej prowincji" — odczyt z cyklu „Dyskutujmy" 17.20 Pieśni Śląskie 17.50 Świat się śmieje 18.00 Muzyka lekka 18.30 Skrzynka ogólna 18.35 Poznajmy przepisy finansowo-rolne 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Audycja ku czci Marszałka Józefa Piłsudskiego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski Współczesnej 21.00 Twórczość Fryderyka Chopina — 24 audycja z radjowego cyklu 21.35 „Od Mickiewicza do Staffa" — kwadrans poetycki 21.50 Nowe zagadnienia podatkowe — pogadanka dla kupców 22.00 „Skąd się wzięło Echo" — audycja muzyczna 22.30 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen 22.35 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 13 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 13.00 Sonata d-moll Jana Sebastjana Bacha 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka lekka 16.00 Gadanina Starego Doktora — audycja dla dzieci 16.15 Koncert orkiestry mandolinistów 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 O pomocy w samokształceniu — odczyt 17.15 Koncert 17.50 Książka i wiedza 18.00 Koncert 18.30 Film, plastyka, architektura 18.40 Jak spędzić święto 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 „Nas dwóch i jeden smoking" — wesoła aud. muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrona przeciw lotniczo-gazowa 21.00 „Skrzydła" — słuchowisko oryginalne 21.35 „Nasze pieśni" 21.55 12 Koncert z cyklu „Kwartety Józefa Haydna" 22.30 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen 22.35 „Płyta za płytą".

Piątek, dnia 14 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka salonowa 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert w wykonaniu Zespołu Tadeusza Seredyńskiego 16.45 „Przyroda w lutym" — pogadanka dla dzieci 17.00 Reportaż z Obserwatorjum Astronomicznego Uniwersytetu Jagiel. 17.15 Minuta poezji 17.20 Płyty dla znawców 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Koncert Zespołu Śpiewaczego „Echo" z Łodzi 18.30 Pogadanka aktualna 18.40 Pogadanka społeczna 18.55 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Komunikat śniegowy 19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami 20.00 Monolog przysłowiony 20.10 „Lohengrin" — opera Ryszarda Wagnera 22.30 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen 22.35 Skrzynka techniczna 22.50 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 15 lutego 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Przegląd prasy rolniczej 12.25 Orkiestra w wyk. Orkiestry Tad. Seredyńskiego 13.25 Chwilka gosp. domowego 14.30 Muzyka 15.00 „Pikantny sosik" — epizog z powieści Sigridy Boo 15.15 Nasz handel morski 15.30 Recital fortepianowy 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 „Król Jan III na weselu" — słuch. dla dzieci 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „Szproty idą" — reportaż 17.15 Nowości z płyt 17.45 „Rzegotka" — pogadanka 18.40 Przegląd wydawnictw 19.35 Wiadomości sportowe lokalne 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 „Od chatki do chatki" — suita ludowa Sygietyńskiego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współcz. 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 Wesoła Syrena 22.00 Koncert zespołu Henryka Golda 22.30 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 74)

Zygmunt postanowił wybadać, ile biednej obłąkanej pozostało jeszcze zdrowego rozsądku, więc odrzekł:

„Od chwili, kiedyśmy się pierwszy raz zobaczyli, — Almo, pamiętasz ten moment, było to w maju; kwiatki kwitnęły przy drogach, małe fjołki podnosiły swe główki, drzewa puszczały pączki, — odtąd minęło prawie dziewiętnaście lat."

Zygmunt obserwował z natężoną uwagą, jakie wrażenie zrobią te słowa na umyśle obłąkanej.

Chora zamyśliła się, a po chwili odparła z uśmiechem:

„Oj ty żartownisiu! Tyle lat już minęło? — O, od naszego ślubu minął najwyżej jeden rok. — Czyżbym tak długo spała?"

„Tak, moja biedna Almo, spałaś długo", zawołał Zygmunt; „teraz jednak zbudziłaś się, — a oczy twoje z każdym dniem zobaczą coś nowego. — Powiedz mi, — czy ta dziewczyna, którą przedstawia ten obraz, jest rzeczywiście naszem dzieckiem?"

„A któż inny, jak nie ono!" odparła Alma z rozpogodzonem czołem. „Naturalnie, to nasza Anielcia. Coprawda, nie mogę sobie tego wytłumaczyć, na obrazie wygląda na dorosłą dziewicę, a przecież może mieć najwyżej jeden rok. — Zygmuncie, dopomóż mi, ponieważ nie wyznaję się w tej ciemni moich myśli."

„Drogie dziecko, zrozumiesz to później", zawołał Zygmunt z widocznem wzruszeniem. „Ja nie mogę tego uczynić, jestem za zwykłym człowiekiem. Żegnaj teraz, Almo, za kilka dni otrzymasz ten obraz i będziesz znowu mogła oglądać go bez przestanku od rana do nocy."

„Pozwól, że go jeszcze raz ucałuję."

Zygmunt podniósł obraz, a biedna obłąkana przyłożywszy swe wargi do malowidła, szepnęła boleśnie:

„Kiedyż zobaczę cię, moje biedne dziecko, moja ukochana Anielciu?"

CX.

Podejrzenie

Zygmunt znajdował się z Elżutką w swoim pokoju, jednak pierś jego drżała ciągle pod wrażeniem przebytej sceny. Stary sługa otrzymał surowy nakaz, by nie zdradził się przed nikim, ani jednem słówkiem.

Hrabia był pewny, że mógł śmiało zawierzyć staremu, wiernemu Walentemu, który potrafił milczeć jak ryba, jeżeli rozchodziło się o korzyść państwa.

Zygmunt postawił obraz na biurku i oparł go o ścianę. Następnie zamknął drzwi.

Ujął rękę Elżutki. W tem uściśnięciu odczuła całe niezwykłe wzruszenie, które opanowało duszę ukochanego mężczyzny.

„Powiedz mi, drogi Zygmuncie", zawołała Elza, tutaj bowiem, będąc z nim zupełnie samą, mogła nie zważać na etykietę, „jaki związek jest z tym obrazem? — Znasz tą dziewczynę, którą przedstawia?"

„Tak jest, znam ją."

„Więc ją już widziałeś?"

„W moim własnym domu, — naturalnie nie na zamku Sokolskich, lecz w pałacu w Paryżu. — Elżutko, przypominasz sobie, przecież opowiadałem ci o owej nieszczęśliwej, w której się niegdyś kochał Kazimierz. Wówczas wyjawiłem ci, że ta dziewczyna przybrała nazwisko Loli, chcąc prawdopodobnie w ten sposób zdobyć serce Kazimierza!"

„Tak, masz rację, teraz przypominam sobie dokładnie twoje słowa. A nawet powiedziałeś, że nie widziałeś nigdy w życiu tak cudownych rysów, jak u tej — oszustki".

Zygmunt wzdrygnął się nagle, jakby go ukąsiła jadowita żmija.

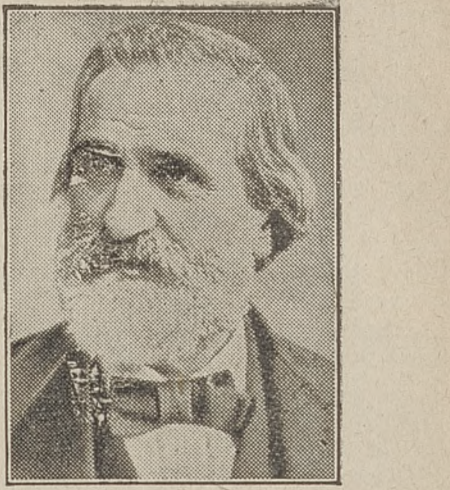
„Co ci się stało, ukochany, dlaczego działa tak bardzo na ciebie to słowo, które sam niegdyś wymówiłeś?"

„Bo, — ponieważ", — mówił Zygmunt głuchym głosem, „ponieważ nie wiem, czym nie posądził niesłusznie tej biednej istoty."

„Nazywając ją oszustką i komedjantką?"

„Tak, podejrzywałem ją o złe zamiary. — Lecz, nie, nie, — do tego stopnia nie mógłbym się pomylić. — Jeżeliby ta na tym obrazie była niewinną, w takim razie, — musiałbym niemiłosiernie potępić tą drugą — i przekląć na całą wieczność, a wtedy, — ah, Elżutko, moje drogie, ukochane dziewczę, chodź w moje objęcia, niech twoja główka spocznie na mojej piersi, bo tylko ty, — jesteś niezmienną i wierną. — Zdaje mi się, jakbym widział nagle cały świat, skąpany w odmiennem świetle, a ludzi z wykrzywionemi cynicznie twarzami. Mam to złudzenie, jakbym patrzał na dno wszystkich dusz, które wydają mi się być z gruntu zepsute. Muszę jednak dojść prawdy", zawołał nagle zmienionym głosem, „pewność, przekonanie i prawda, — to mój cel! — Tak, albo tak. — muszę je zdobyć!

„Tak, Elżutko", mówił dalej i równocześnie objął kochankę, prowadząc ją w stronę biurka, „to jest ta nieszczęśliwa dziewczyna, którą Kazimierz spotkał przed wejściem katedry Notre Dame. To ona, — niema najmniejszej wątpliwości! Poznaję ją nietylko po rysach; pewne kombinacje dowodzą niezbicie, że to ta sama dziewczyna. Była wówczas w domu doktora Hallera, kiedy go zawezwałem do siebie. Prawdopodobnie lekarz był również zachwycony tem cudownem stworzeniem, jak każdy inny, który ją chociaż raz tylko zobaczył. Dlatego kazał malować jej obraz, i zabrał go tutaj ze sobą. Powiesił na ścianie ten portret, gdy w tem zauważyła go biedna Alma. Wszystko zgadza się, jak mechanizm maszyny, w której jedno kółko zachodzi w drugie."



Dnia 27 stycznia br., upłynęło 25 lat od śmierci znakomitego kompozytora włoskiego, Józefa Verdie. Był on ostatnim, słynnym przedstawicielem Wielkiej Opery. Z dzieł jego są najwięcej znane: „Ernani", „Rigoletto", „Trubadur", „Don Carlos", „Otello" i „Makbet".

„Nie rozumiem jednak jednej rzeczy", wołała Elza, „może zechcesz mi to objaśnić, drogi Zygmuncie?"

Hrabia skłonił potakująco głową, a Elżutka przemówiła cichym głosem:

„Dlaczego obłąkana mniema, że właśnie ten obraz przedstawia portret jej dziecka? — W ciągu swego życia widziała zapewne dużo obrazów, — a nigdy nie przyszła jej podobna myśl do głowy. Na widok Loli nie okazała żadnego wzruszenia. — Dlaczego te rysy spowodowały taki przewrót, dlaczego ten obraz wywarł na nią takie niezatarte wrażenie?"

„Ponieważ", — straszne słowo zawisło na wargach Zygmunta; powstrzymał się jednak i ukrył je pospiesznie w głębi swojej duszy.

„Droga Elżutko, proszę cię", rzekł uwalniając się z uścisków kochanki, „pozostaw mię teraz w samotności. Niepokoją mię dzikie myśli, — nigdy w życiu podobny chaos nadziei i obaw nie napełnił mojąą duszę, jak obecnie. Jeden tylko środek może uspokoić moje nerwy, — to jest samotność."

„Odchodzę więc", odparła Elżutka, „błagam cię jednak, Zygmuncie, opanuj twoje wzruszenie. Jesteś cały blady, — ukochany, uważaj na siebie i nie zachoruj."

„Oh nie", zawołał Zygmunt, „obecnie niema czasu na choroby, gdyż życie wymaga ode mnie teraz większych wysiłków, aniżeli przedtem. Muszę spełnić jeden obowiązek, który mi jest święty, jak każdy inny."

Podał rękę Elżutce i podprowadził ją ku drzwiom; tam uścisnął jeszcze raz jej ręce.

Ach, usta Elzy prosiły wprost o pocałunek! I rzeczywiście, jeden całus byłby napełnił znowu jego duszę spokojem, ukojeniem i pociechą.

„Jednak, — nie dotknął warg ukochanej dziewczyny, — nie powinien zejść z raz obranej drogi, którą sobie wytknął.

Zygmunt stanął przed obrazem i skierował ku niemu swoje oczy.

„Anielcia", szeptał cichym, stłumionym głosem, „Anielcia, — jej dziecko, moja córka! — Oh, kto mi poda nitkę,

bym oświecił te ciemności, w których dotychczas błądzę, — niechże mi kto powie, która z nich zasługuje na moją miłość!

„Ah, czyżbym postradał zmysły, — o gdzie się błąkam? — To niemożliwe, by popełniono takie olbrzymie oszustwo! — Czyż nie odezwało się moje serce, gdym ją zobaczył po raz pierwszy z owym listem, który napisałem niegdyś przed laty, — ten jedyny znak, który stracone dziecko mogło pokazać, by udowodnić swoją autentyczność?

„Tak, przyniosła mi ten list", rozmawiał Zygmunt ze sobą, „możliwość nie jest jednak wykluczoną, że go ukradła! — Ah, ukradła! — Więc miałbym ją uważać za podłą istotę? — Nie, ta druga, której obraz widzę przed sobą, ukradła nazwisko, — ona jest oszustką, — występną kobietą, — zwykłą komedjantką! Lola, moja córka, jest zaś dobą, szlachetną, i czystą, jak łza! — Ojcze w Niebiesiech, dopomóż mi, ja jestem za słabym człowiekiem, bym rozwiązał ten węzeł."

Równocześnie przed oknami hrabiego rozległ się tętent końskich kopyt. Zygmunt wyglądnął i zobaczył Kazimierza, który wrócił z rannej przejażdżki.

Zygmunt otworzył okno, wychylił się i zawołał na Kazimierza:

„Bądź tak dobry i pofatyguj się do mnie na chwilkę, — mam omówić z tobą ważną sprawę."

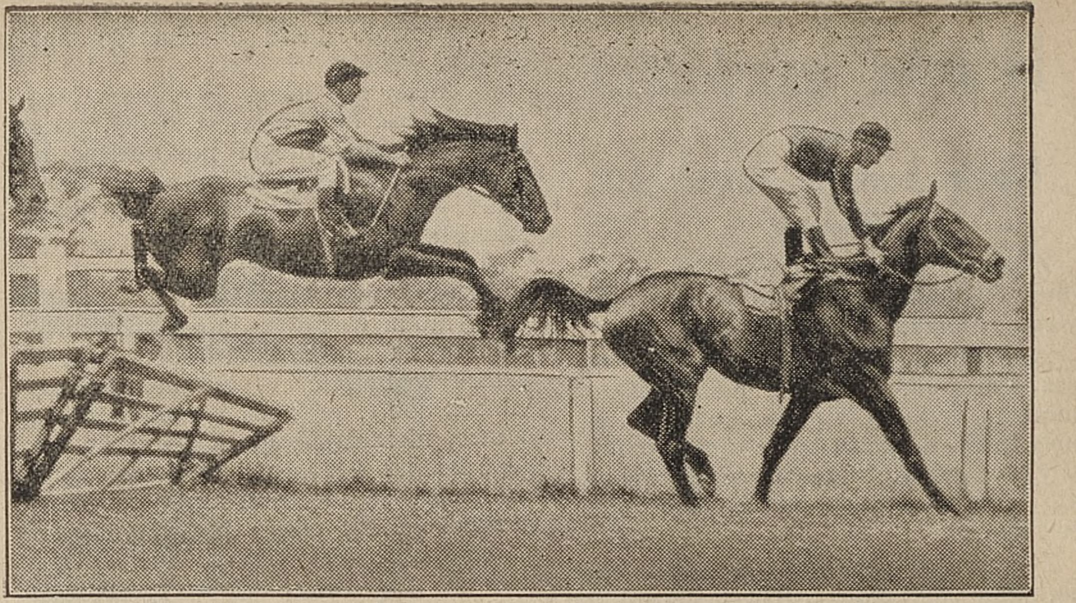
„Natychmiast, drogi ojcze", odezwał się głos z dołu i po upływie kilku minut Kazimierz wszedł do pokoju, ubrany jeszcze w kostjum do konnej jazdy. Cała jego postać zdradzała, że odbył parogodzinną przejażdżkę. Ubranie było pokryte kurzem, a w jego czarnych włosach tkwiły nawet osty, które się tam zabłąkały w czasie jazdy przez krzaki i zarośla.

Kazimierz wyjeżdżał codziennie ze zamku o wschodzie słońca. Zdawało się, jakby szukał samotności i nie chciał znajdować się u boku swojej pięknej żony, mimo, że Lola właśnie teraz potrzebowała jego wsparcia i pomocy, ponieważ zbliżała się ciężka godzina rozwiązania.

„Kazimierzu, jeździłeś dzisiaj konno?" zapytał Zygmunt, który, nim jego syn wszedł do pokoju, przykrył jeszcze prędko obraz jedwabną chusteczką. — „Zapewne orzeźwiło cię świeże powietrze, — taka przejażdżka dodaje nam zawsze nowych sił!"

„Oh, tak, drogi ojcze! Jednak twój dobrotliwy, łagodny sposób mówienia jest wprost balsamem na moje rany. — Ojcze, pozwól że będę otwartym, od kilku tygodni zmieniłeś się do niepoznania, nie jesteś więcej dla mnie wiernym przyjacielem i podporą, jak przedtem. — Nie, proszę cię, — pozwól mi wymówić, poprzysiągłem bowiem sobie, że między nami musi przyjść do porozumienia. — Ojcze, zmieniłeś względem mnie swoje postanowienie i to tylko przeciwko mnie".

Zygmunt opuścił głowę na piersi. Oh, jak chętnie byłby otwarcie odpowiedział na to pytanie Kazimierza! Tego nie było mu jednak wolno, — obiecał Loli, że nie zdradzi, zawierzonej



Podczas zawodów hippicznych w Australji, jeździec po prawej stronie, w pełnym biegu o włos byłby spadł z konia. W ostatniej jednak chwili zdążył ponownie usadzić się na koniu i kontynuować dalszy bieg.

sobie tajemnicy, tej tajemnicy, że jej mąż jest zwykłym graczem.

„Drogi ojcze, wobec wszystkich innych ludzi jesteś takim, jak dawniej", mówił dalej Kazimierz, zdejmując rękawiczki, które razem z kapeluszem i szpicrutą złożył na krzesełku, „między nami musiało coś zajść, co mi odwróciło twoje serce. — Ojcze, przebacz mi, jeżeli ja jako młodszy odważam się na rozwinięcie przed tobą moich poglądów życiowych. Gdyby na jednego z moich przyjaciół padł najmniejszy cień, tobym się starał wystawić go na słońce, byle tylko pozostał bez skazy, — bez cienia! — Ty jednak spychasz mię w coraz większą ciemnię. Omijasz mię, jakbyś chciał uniknąć stanowczej rozmowy. Dzisiaj nadeszła jednak godzina wyjaśnień i wymiany zdań. — Oh, oby stała się godziną pojednania i uciechy! Oby uczyniła z nas mężczyzn, którzy kochają się nie tylko jak ojciec i syn, lecz jak dwaj wierni przyjaciele!"

Kazimierz wymawiał te słowa z taką szlachetnością i pewnością, że serce Zygmunta otworzyło się przed nim.

W jego mózgu powstała nagle myśl, podobna do wrogiej błyskawicy:

„Co robić, jeżeli słowa Loli mijają się z istotną prawdą? Czyżby to nie było dowodem, że jest kłamczynią? I na nowo powstałoby znowu pytanie, dlaczego chciała sprzedać w Paryżu za bezcen kosztowności, rodzinne pamiątki i brylanty? — Nie, ona nie była zdolną do kłamstwa. Muszę rozmówić się z Kazimierzem, — jako jego przyjaciel jestem zobowiązany wyjawić mu całą prawdę".

Zygmunt ujął młodego mężczyznę za rękę i zaprowadził go ku oknu, przez które wpadały złociste promienie południowego słońca.

Czyste światło spadało na twarz Kazimierza; Zygmunt patrzył mu prosto w oczy, jakby chciał dojrzeć aż na samo dno jego duszy.

„Nie", zawołał wreszcie Zygmunt, „ty nie jesteś złym człowiekiem! To niemożliwe, ty nie jesteś zdolnym do tak podłego nadużycia mojego zaufania. W rodzinie Zamskich nie było nigdy występnych potomków, którzyby nie zważali na cześć i rycerskość swojej familji".

„Ojcze," odparł Kazimierz, prostując się mimo woli, „któż to ma odwagę twierdzić o mnie wręcz coś przeciwnego? O, nazwij mi go, wskaż tego oszczercę, — i bądź pewien, że nie ujdzie ostrza mojej szabli. Będę z nim walczył na śmierć i życie a własną sławę zmyję jego krwią".

„Nie każdego oszczercę", rzekł Zygmunt poważnie, „można ukarać swoim mieczem. W podobnym wypadku, nie pozostaje nic innego, jak zedrzeć tylko z twarzy potwarcy obłudną maskę i uczynić go nieszkodliwym, by jego wargi nie odważyły się drugi raz na nikczemne, podłe kłamstwo. Kazimierzu, odpowiedz mi teraz, lecz mów prawdę, nie zataj niczego: odkąd objęła cię występna namiętność gry?"

Kazimierz odskoczył gwałtownie od Zygmunta, — jego szlachetna twarz okryła się ciemnym pąsem, — na czole, które zwykle było gładkie jak alabaster, wystąpiły żyły, świadczące o niezwykłym gniewie.

„Mój ojcze, przysięgam ci", zawołał a głos drżał mu szlachetnem oburzeniem, „wyjaw mi tego, który mię oczernił przed tobą. Teraz, — teraz pojmuję, doniesiono ci sprawy, które nie są prawdziwe, sprawy, które mię musiały zbezcześcić w twoich oczach. — Jakto, ja mam być graczem, — człowiekiem, hołdującym takiej bezwstydnej namiętności?! — O, Zygmuncie, przecie znasz mię już tak dawno, — wiesz, że noszę nazwisko Zamskich, a sam dopiero co powiedziałeś: że nikt z rodziny Zamskich nie splamił się dotychczas podłym uczynkiem. — A ja miałbym się tego dopuścić, obrać sobie grę za zadanie życia i hołdować tej zgubnej namiętności? — Nie pozostaje mi nic innego, jak wybuchnąć śmiemi nic innego, jak wybuchnąć śmiechem. To wydaje mi się tak śmieszne, że ja, którego dusza zajmuje się zupełnie innemi myślami, mam być graczem".

„Więc nie robiłeś nigdy długów, — nie grałeś na słowo honoru", badał Zygmunt „nie zobowiązałeś się nigdy

do zapłacenia pokaźnej sumy w przeciągu dwudziestu czterech godzin?"

„Niema ani jednego człowieka na świecie, któryby się mógł poszczycić, że mu byłem winien przez kilka godzin chociażby jednego tylko halerza", odparł Kazimierz głosem, zdradzającym głębokie wzruszenie.

„Opamiętaj się, Kazimierzu, nie wiesz, o co się rozchodzi. Twoje wyznanie druzgocze stworzenie, które nam było dotychczas droższe nad życie. — Nie grałeś nigdy, uważałeś więc na siebie, jak prawdziwy arystokrata, — gra była dla ciebie tylko niewinną rozrywką?"

„Nie mogę sobie nawet przypomnieć, czy w naszym klubie w Paryżu grałem kiedykolwiek z kim innym, prócz ciebie, — a o jak małe stawki graliśmy, to wiesz zapewne lepiej odemnie".

Zygmunt zakrył oczy ręką, — westchnienie wydobyło mu się z piersi, — miał złudzenie, jakby go jakaś niewidoczna ręka spychała coraz głębiej w bezdenną przepaść, która się nagle otwarła przed jego nogami, tak, że tylko ze zgrozą odważył się spoglądnąć w tą czarną, ciemną otchłań.

„Dobrze, Kazimierzu", zawołał ponu-ym głosem, „zadam ci jeszcze ostatnie pytanie".

Hrabia ujął Kazimierza za rękę, przyciągnął go do siebie i zatopił swój wzrok w oczach młodego mężczyzny, jakby chciał czytać na dnie jego duszy.

„Kazimierzu, wyznaj mi pod słowem honoru: rzuciłeś się kiedy twojej żonie do nóg, błagając ją, by pokryła twoją olbrzymią przegraną, — czy nie namawiałeś ją nigdy do sprzedaży rodzinnych brylantów, byle tylko długi twoje nie doszły do mojej wiadomości?"

„Ojcze", zawołał Kazimierz i drżącym ruchem przyłożył obie ręce do rozpalonych skroni, „ojcze, zbudziłeś we mnie straszne podejrzenie, — tylko Lola była w stanie mię tak obwinić, — ona, — tak, ona odważyła się na to i wystąpiła przed tobą z niecnem, podłem oszczerstwem. — A jednak, moja dusza wzdryga się wprost na myśl, że moja żona, która wkrótce stanie się matką naszego dziecięcia, miałaby się tego dopuścić. — Ojcze, zaklinam cię, powiedz mi prawdę, — ojcze, ja chcę wszystko wiedzieć, — każda minuta niepewności sprawia mi niewysłowione męki".

„Zgoda, powiem ci wszystko", zawołał Zygmunt głosem, podobnym do uderzenia młotu, „tak, Kazimierzu, muszę ci zwierzyć ową tajemnicę. — Przypominasz sobie zapewne, jak jednego dnia poszliśmy razem do naszego paryskiego złotnika. Wówczas odesłałem cię, byś mi kupił lekarstwo w pobliskiej aptece. To jednak nie było właściwą przyczyną, dlaczego cię oddaliłem wtedy ze sklepu. Chciałem pozostać przez kilka minut sam ze złotnikiem, ponieważ między kosztownościami, które mi pokazał jubiler, rozpoznałem familijną pamiątkę Sokolskich, która obecnie należała do rodziny Zamskich. Moja córka otrzymała ją odemnie jako ślubny prezent".

„Przypominam sobie, mój ojcze. Nie widzę jednak związku z oszczerstwami Loli! Dalej, dalej, — niech się dowiem wszystkiego".



Chińskie miasto portowe, osławiony Szanghaj przybiera cechy nowoczesnego miasta amerykańskiego. Właśnie wykończono w Szanghaju 80-metrowy niebotyk, znajdujący się w pośrednim sąsiedztwie szanghajskiego toru wyścigowego.

„Ów złotnik zwierzył mi się, że jedna wielka dama sprzedała mu dużo kosztowności, ozdób i brylantów. Nie skończył jeszcze mówić, gdy w tem otwierają się drzwi i do sklepu weszła młoda pani, w której rozpoznałem — Lolę".

„Lola!" zawołał Kazimierz przeraźliwym głosem i przycisnął rękę do piersi, powtarzając głucho kilka razy jedno i to samo słowo „Lola".

Kazimierz osunął się na krzesełko. Jasny wzrok Zygmunta zauważył, że pod białem czołem młodego mężczyzny przesuwał się bezładnie dziki chaos myśli, które — jak słusznie przeczuwał — kierowały się tylko na jeden przedmiot.

„Zaprowadziłem Lolę do domu", mówił dalej hrabia Sokolski po małej pauzie, „i zacząłem ją wypytywać. Wyznała mi wreszcie, że sprzedała owe rodzinne pamiątki, celem pokrycia twoich długów, które porobiłeś przy kartach. — Przysięgła mi, że mówi prawdę, — płakała, — a jej łzy wyglądały, jakby płynęły wprost ze serca. — wierzyłem jej, — musiałem jej wierzyć, nie podejrzywając moje dziecko o zły charakter. Ale dzisiaj, — dzisiaj, kiedy mam twoje słowo honoru, — nie wierzę więcej jej słowom, ponieważ nie uważam ją za moje dziecko!"

Kazimierz podskoczył, — obaj mężczyźni stali przez chwilę naprzeciwko siebie, a żaden z nich nie zdołał wydobyć z gardła ani jednego dźwięku. Zanadto byli wzruszeni i podrażnieni. Czuli, że obecnie nadeszła chwila, która rozstrzygnie ich całe dalsze życie i losy drugiej istoty, którą kochali dotychczas z całego serca.

Kazimierz opanował pierwszy swoje wzruszenie, — zbliżył się do Zygmunta, objął go w ramiona, przycisnął do piersi i zawołał drżącym głosem:

„O, mój przyjacielu, mój ojcze, ileś ty wycierpiał, zanim przyszedłeś do tej strasznej myśli! Spodziewam się jednak, że wymówiłeś tylko słowo, które zniknie razem z gniewem. Twój zamiar, to co tak wyraźnie wymówiłeś, nie nigdy, — to jest zupełnie niemożliwe!"

„A to dlaczego?" zawołał groźnie Zygmunt, „dlaczego miałoby być niemożliwe, że do mojego domu dostała się nędzna oszustka!"

„Lola, — oszustką?" jęknął Kazimierz, „w takim razie jest największą komedjantką na całej kuli ziemskiej".

„Bardzo możliwie!" Wstrzymam się jednak z ostatecznym wyrokiem, ponieważ nie posiadam właściwie przeciwko niej żadnych dowodów, — moje twierdzenia opiera się tylko na dwóch momentach, które świadczą przeciwko Loli. O jednym z nich mówiliśmy przed chwilą: twoja żona jest oszustką, — a hrabina Sokolska nie może być nigdy kłamczynią! W naszej rodzinie nie mieliśmy jeszcze tak podłego stworzenia, któreby obwiniło swego męża o zbrodnię, której się nigdy nie dopuścił, a Bóg pewnie i nadal nie dopuści, by podobna istota zakradła się do naszego domu.

„Niestety stało się", mówił dalej Zygmunt strasznym głosem, „dlatego trzeba ją wyrzucić i to o ile możności, jak najprędzej!"

„Mój ojcze, błagam cię", zawołał Kazimierz nieśmiało, gdyż w tej chwili doznawał wprost trwogi przed Zygmuntem, — tak dziko i złowrogo brzmiał jego głos, — „proszę cię, daruj, ale ja się na to nie zgadzam. Twierdzisz, że Lola jest oszustką! Zgoda: musi nią być nawet, skoro rzuciła na mnie takie ciężkie podejrzenie. Czyż jednak człowiek nie jest produktem wychowania i otoczenia ‚wśród którego wyrósł? Lola nie urodziła się na zamku Sokolskich. W młodości żyła w Paryżu, między obcymi ludźmi, tam zastała wychowana i nie ulegała nigdy twemu wpływowi, ani twojej wychowawczej troskliwości. Czy nie mogła ulec złym skłonnościom i zostać kłamczynią, mimo, że była twoją córką i pochodziła ze słynnego rodu Sokolskich"?

„Nie“, odparł stanowczo Zygmunt, „to jest niemożliwe! Nie zgadzam się na to, by człowiek był tylko takim, jak go uformuje wychowanie i otoczenie. Krew, to główny czynnik. — krew, która porusza nasze serca, daje nam także charakter, — i całe tło duchowe. Wymieniłem ci dotychczas najmniejszy, nie wiele znaczący dowód“, mówił ciągle Zygmunt, „teraz pokażę ci większy, potężniejszy i bardziej przekonywujący.

„Kazimierzu“, zawołał Zygmunt, zatapiając swe palce w ramiona młodego mężczyzny, „niegdyś kochałeś dziewczynę, nazywającą się Anielcią, która twierdziła, że jest córką owej nieszczęśliwej Almy. Matka Anielci znajdowała się wówczas w zakładzie doktora Morizano“.

Kazimierz wzdrygnął się, jakby nagle spadł z nieba oślepiający piorun i uderzył w niego. Zygmunt mówił o Anielci, — o owej nieszczęśliwej, o której postanowił nigdy więcej nie myśleć? Ach, Zygmunt nie przeczuwał, jak obca mu była ta dziewczyna, — nie wiedział, że on, Kazimierz, spotkał tą ukochaną niegdyś dziewczynę w podejrzanym hotelu, gdzie znajdowała się w jednym pokoju z osławionym Alfredem Robberem.

Nie, Zygmunt nie wiedział nic o tem, gdyż tylko Kazimierz znał ową tajemnicę, której mu nie mógł odsłonić, ponieważ właśnie wtedy hrabia odsunął się od niego.

A jednak, Kazimierz, myśląc o tych gorzkich wspomnieniach, czuł zupełnie wyraźnie, że się oszukuje, ponieważ twierdził, że nie kocha więcej Anielci, i że jej obraz zatarł się zupełnie w jego sercu.

Nie, — może od owej chwili, która rozstrzygnęła stanowczo jej losy, myślał o niej tysiąc razy więcej. Dręczyły go ciągle niespokojne myśli: Anielcia była może niewinna, może ja niesłusznie potępił i ustawicznie zadawał sobie pytanie: A jeżeli nie jest winną, jeżeli zranił ją boleśnie, — to co wtedy!

Wprawdzie wszystko mówiło przeciwko niej, pozory stanęły w roli strasznego oskarżyciela, — lecz cóż znaczą pozory, — jak często nas mylą?

Tak, Kazimierz zastanawiał się często nad tem, — a czarowne rysy Anielci zakradały się coraz bardziej w jego serce i myśli. Jeżeli sobie uprzytomnił piękne dziewicze zjawisko dziewczyny, to zdawało mu się, że to był tylko pięknym sen, który mu pokazał wówczas Anielcię w owem, strasznem otoczeniu podejrzanego hotelu. — Oh, postąpił sobie jak ślepy, nie badał, ani nie rozstrzygnął sprawiedliwie tej całej sytuacji.

Podobnie teraz, kiedy Zygmunt wymówił imię Anielci, przed jego oczyma powstała nagle postać ukochanej dziewczyny. Zygmunt nie dał mu jednak czasu, zabawiać się tą myślą.

„Przypominasz sobie zapewne“, odezwał się Zygmunt, „moje słowa, które wówczas wypowiedziałem. — Twierdziłem, że owa dziewczyna była zwykłą komedjantką, która okłamała cię i przybrała fałszywe nazwisko. Kazimierzu, jeżeli jednak ona nie była kłamczynią, jeżeli miała prawo do tego nazwiska, jeżeli ta druga oszukała nas i podeszła podstępnie nasze serca, — to co wtedy?“

„Mniemasz, że Lola“, zawołał Kazimierz, „oh, mój ojcze, jak nielitościwie spadają uderzenia twego oskarżenia na głowę mojej małżonki!“

„Może sądzisz“, zawołał Zygmunt drżącym głosem, „że mi tak łatwo przychodzi oskarżyć tą, którą nazywałem dotychczas moją córką? Wzdryga mi się wprost serce, ale rozsądek woła: nie schodź z obranej już raz drogi, — wejdź odważnie do głębokiego gąszcza kłamstwa i podłości, w chaos oszukaństwa, — a zostaniesz wynagrodzony za trudy i niebezpieczne przedsięwzięcie, ponieważ odkryjesz prawdę.

„A wiesz ty, mój synu, gdzie znalazłem prawdę“, mówił Zygmunt zmienionym nagle głosem, „gdzie mi się okazała? W pokoju nieszczęśliwej obłąkanej, którą ukryłem w ogrodowym domu, — tam, gdzie nie spodziewałem się nigdy znaleźć, tam się z nią spotkałem. Musiałbym być głupcem, gdybym był przeszedł obok i nie zauważył tego boskiego zrządzenia. — Znalazłem prawdę, w oczach tej samej dziewczyny, w których niegdyś czytałeś swoją miłość. Kazimierzu, są jednak chwile, w których nagle na ciemnotę naszej duszy spada jasny promień, który czasem dopiero po upływie wielu lat odsłania nam całą rzeczywistość. Biada temu, który nie umie wykorzystać taką chwilę, — biada każdemu, kto zamyka oczy i nie chce widzieć.

„Ja jednak pragnę widzieć i życzę sobie, byś i ty przejrzał. — Kazimierzu, rozchodzi się, kto tu jest oszustką. To główne pytanie! Jest nią owa nieszczęśliwa, która dotychczas nie zaznała nic prócz trosk i bólów; wzgardzona i wyszydzona przez ludzi, ponieważ nie miała porządnego nazwiska, a której uczyniliśmy niepowetowaną szkodę, — albo też ta druga, która nas ujęła swojem zachowaniem i pięknością, jakoteż i wykazaniem się dokumentu, który był dla mnie rozstrzygającym. Prawdopodobnie nabyła go w nielegalny sposób. — Mój młody przyjacielu, ani ja, ani ty, nie możemy obecnie odpowiedzieć sobie na to pytanie, — pozostawmy to wyższemu od nas sędziemu.“

„Gdzie znajdziemy takiego sędziego?“ zawołał Kazimierz drżącym głosem, „wskaż mi go, drogi ojcze, powiedz jego nazwisko, a będę błagał, by wydał swój wyrok, gdyż ja, o ojcze, czuję się za słabym do osądzenia i rozwiązania tej zagadki.“

„Zaprowadzę cię do tego mądrego sędziego“, rzekł Zygmunt wzruszonym głosem, „jego nazwisko, to natura. Natura, która stworzyła te dwie istoty, jedną piękniejszą od drugiej, — jedna z nich jest szlachetna, druga może poszczycić się tylko pięknością, — jedną do szczęścia, drugą do nędzy, — natura



Na powyższej reprodukcji widzimy znanych i popularnych artystów polskich: Igo Syma, Verę Bobrowską, warszawską artystkę rewjową i A. Żabczyńskiego. Zdjęcie zostało zrobione w okresie karnawałowym, na balu mody w Warszawie, w ubiegłym roku.

powie ci teraz: ta jest prawdziwą; tej tylko wierzę.“

Zygmunt, wymawiając te słowa, zbliżył się ostrym krokiem do biurka i szybkim ruchem ręki zerwał jedwabną chusteczkę, która zakrywała obraz.

„Anielcia“, krzyknął Kazimierz i stanął przed obrazem, jak wryty. Po chwili dodał widocznie wzruszony: „Tak, to ona, — to jej piękne, wdzięczne rysy, — te same drogie oczy ze szlachetnem wyrazem, — to jej dziewicza postać, na której niema ani jednej skazy, — tak, to Anielcia, moje urocze kochanie. Wygląda tak, jak wtedy, kiedy się uśmiechało do mnie szczęście! Gdzie, — gdzie jest teraz, — poznaję ją!“

„Patrz, oto ta druga, którą nazywałeś dotychczas swoją żoną“, mówił Zygmunt z nieubłaganą logiką, „zapytaj się, która z nich zasługuje na wiarę. Która twarz jest niezdolną do oszukańsiwa, ta, czy owa; — które usta nie wypowiedziały jeszcze ani jednego kłamstwa, twojej żonie, czy też tej, którą nazwałem oszustką?

„Jeżeli nie możesz odpowiedzieć na to pytanie, a natura nie poddaje ci swego wyroku, to sprowadzę dla ciebie innego świadka, który potwierdzi słuszność moich podejrzeń. Posłuchajmy co powie biedna, nieszczęśliwa obłąkana, którą ukryłem w ogrodowym domu.

„Alma widziała portret i zawołała bez namysłu: to jest moje dziecko! Od tego czasu nie może się rozłączyć z obrazem. Jej serce odezwało się za pierwszym rzutem oka. Odtrąciła od siebie Lolę i uznała Anielcię. Matka przemówiła, — sędzia wydał swój wyrok, — wyniósł jedną, a poniżył drugą! Kazimierzu, ufaj naturze i jej wyrokowi!“

Kazimierz osunął się powoli na kolana, wyciągnął ręce i skierował swój wzrok na obraz, jakby klęczał przed ołtarzem. Potok łez wytrysnął z jego oczu i zrosił jego policzki, — męska pierś wznosiła się gwałtownie pod wpływem głębokich westchnień, — i wreszcie po długiej pauzie usta wyszeptały:

„Anielciu, czarująca boginko, teraz wierzę w ciebie! Daruj, o daruj, jeżeli tylko możesz przebaczyć! O Boże, Stwórco Wszechmocny, jak niesłusznie postąpiłem z tobą, biedna Anielciu!“

„Mój synu, nigdy nie jest zapóźno do wynagrodzenia krzywdy“, odezwał się za nim ojcowski głos, „wstań i połącz się ze mną, to dopomożemy prawdzie do zwycięstwa.“

„Tak, tego pragnę, — na Boga, to moje jedyne życzenie!“ zawołał Kazimierz.

W następnej chwili ręce obu mężczyzn złączyły się silnym uściskiem, — ich oczy spotkały się razem.

Równocześnie składali nieme przyrzeczenie na tajemnicą przysięgę, — poprzysięgli sobie sprowadzić losy dwóch dziewcząt na prawdziwe i zasłużone tory.

Nagle otwarły się drzwi i do pokoju wpadł stary sługa:

„Panie hrabio, — oh, panie hrabio Zamski, co za szczęście, żem zastał pana hrabiego, — na zamku panuje radość, — hrabina Lola Zamska, — pańska małżonka wydała na świat syna!“

CXI.

Dziecko bez nazwiska

W życiu kobiety istnieje jedna tylko poważna godzina, w której czuje się zbliżoną do Boga.

To nie ta godzina, kiedy zarumieniona wyznaje swojemu kochankowi, że pragnie zostać jego, — ani też, kiedy oddaje rękę na całe życie wybranemu mężczyźnie. — Te chwile stanowią wielki zwrot w życiu każdej kobiety, jednak nie równają się temu momentowi, w którym młoda kobieta zostaje pierwszy raz matką.

Odczuwa ona wtedy całą rozkosz, że spłaca wielki dług, który jest winną dobrotliwej naturze, — teraz wywdzięcza się za tę chwilę niewysłowionego, miłosnego uczucia, — teraz ma pewność, że nie napróżno kochała, — rozwinęła się w różę, — a z jej sił powstaje nowy pączek. Gdy zwiędnieje po latach, to znów ten pączek zakwitnie, — i tak przyczepiła nowy węzeł do olbrzymiego łańcucha ludzkości.

Lola pieściła ciągle dziecko, któremu dała wczoraj życie, — piastunka musiała je ustawicznie podawać — i czuła się bezgranicznie szczęśliwą, że porodziła chłopca.

Ten chłopiec miał przecież utrzymać szlachetny ród Zamskich.

To dziecko, delikatne jak tchnienie, zostanie kiedyś konarem i wyda nowe gałęzie, — na tych dwóch ramionach spoczywało obecnie szczęście Zamskich, a Lola dała mu podwaliny.

Piękna, młoda kobieta leżała na jedwabnem posłaniu, otoczona wszelkiemi wygodami. Kołyska, w której spało jej dziecko, była wybitą niebieskiem jedwabiem.

Wszystko złożyło się na szczęście Loli, a jednak, — czy była rzeczywiście szczęśliwą?

Lola oszukiwała siebie samą i mówiła: tak, jestem nią!

Możeby była szczęśliwą, gdyby nie ta straszna wątpliwość, która ją ciągle dręczyła, — wątpliwość, z powodu której podnosiła się co chwila na łóżku, spoglądała na śpiące dziecko w książęcej kołysce i obserwowała uważnie jego drobne rysy.

Cóż w tem dziwnego? Każda matka patrzy z lubością na dziecko, — każda matka pieści takie małe stworzenie, które powstało z jej krwi i ciała.

Dlaczego Lola nie doznawała tego uczucia, dlaczego nie pociągała ją ta mała dziecina?

We wzroku Loli tkwiły grzeszne myśli, które zwykle nie powstają nigdy w duszy młodych matek.

Lola była zupełnie samą. Piastunka wyszła na chwilę.

Żona Kazimierza zrzuciła ze serca olbrzymi ciężar i rzekła stłumionym głosem:

„Podobne do mnie? Ma rysy Kazimierza? Tak, to jego dziecko, jego syn. Nie widzę najmniejszego podobieństwa do tego nędznika, któremu oddałam się, ponieważ mię zmusił przemocą, — tak, ani jeden rys nie przypomina jego twarzy!

„O, jak przykre i potworne są tego rodzaju myśli, jeżeli niepokoją serce młodej matki! — To upiory, które plugawemi rękami dotykają dziecko i obryzgują błotem jego kołyskę.“

Lola opadła na poduszki z głębokiem westchnieniem, — w oczach pojawiły się jej łzy, zraszając jedwabiste rzęsy.

„Ach, jak się upewnić? Dlaczego ta nowa istota nie sprawia mi niczem nie zamąconej radości? Czyż muszę ciągle drżeć, — i obawiać się, zamiast cieszyć się i radować? Ach, niestety to prawda, co wyrzekł wielki wieszcz:

„To przekleństwo złego uczynku, który rodzi ustawicznie tylko zło!“

„Nie, moje dziecko poczęło się w małżeńskiem łożu, — Kazimierz Zamski jest jego ojcem, — to prawdziwy potomek słynnego rodu, którego nazwisko będzie nosił mój syn.

„A jeżeli jednak jest inaczej?“ szepnął jej do ucha jakiś głos z cynicznym tonem, jeżeli w żyłach tego dziecka płynie krew Alfreda Robbera, — co wtedy?“

„W takim razie twój syn, o nieszczęśliwa kobieto, będzie miał te same właściwości charakteru, co jego ojciec! Twoje grzeszne dziecko wyciągnie rękę po obcy majątek, — w tej małej pięści, która obecnie zwija się jako znak zdrowia i spoczywa na różowych policzkach, zabłyśnie kiedyś sztylet bandyty. Wtedy te oczy, spoglądające teraz na ciebie z dziecięcą niewinnością, zagorzeją płomieniem grzechu i szatańskiej złośliwości.“ (Ciąg dalszy nast.)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. M. Z. z Zbąszynia. Wszelkie pretensje Pana załatwiła administracja. Rozwiązanie zagadki nie jest trafne; jak powinno brzmieć, poinformuje Pana rozwiązanie w dziale: „Chwila zastanowienia“. Łączymy serdeczne pozdrowienia.

P. Władysława M. z N. Powieść „Wśród warjatów“ pociągnie się jeszcze przez parę miesięcy.

P. I. Grodowski z S. Zadanie, nadesłane przez Pana do „Chwili zastanowienia“, odłożyliśmy do teczki. Skorzystamy przy sposobności.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KTO ZGADNIE?

pod. Ir. W.

Podane litery następują w pewnym szyku i tworzą przysłowie: r i o z z e w n e c g a p o ł ć o u o d m k w o o o i b w g e.

ZAGADKA

uł. I. Wiechujówna

Przez *mo* — jest z żelaza,
Przez *fu* — jest budowla.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku dnia 14-go lutego b. r.

Rozwiązanie zadań z nr. 4 „Moich Powieści“ *Rebus—zagadka:* Miara ziemi i litera, to nazwisko miljardera — M o r g a n. *Żarcik matematyczno-słowny:* S T O K O N I.

1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.
S	t	o	k	o	n	i

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Maryla Kierzkowska — Osie, Izydor Grodowski — Smaruj, Alojzy Anzel — Słoszewy, Augustyn Wrzask — Chorzów, Władysława Matuszak — Nieżywiec, Jadwiga Oborska — Zabkowice, Andrzej Wilkowicz — Łódź, Anna Ząbkowska — Przygodzice, Aureljusz Pustkowski — Warszawa, Elżbieta Ziółkówna — Wadowice, Jan Portasiak — Zacharzew.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Elżbiecie Ziółkównie z Wadowic i Andrzejowi Wilkowiczowi z Łodzi.

HUMOR

Jak to rozumieć

— Czy będziesz mnie kochał nawet wtedy, gdy będę starszą i brzydszą?

— Starszą może będziesz, ale brzydszą nigdy!

Tylko na krótki czas

Pan Parasol, właściciel magazynu nowości damskich, pokazuje swemu przyjacielowi nowo urządzoną wystawę, na której widnieje reklama:

„Tylko krótki czas! Wszystkie kapelusze po siedem złotych!!"

— Widzisz ten napis? Tylko nie myśl, że to jest taka reklama! Kapelusze będą rzeczywiście tylko krótki czas kosztowały po siedem złotych. Za parę dni będę je musiał sprzedawać po sześć!

Wzruszenie

Pewien ksiądz nie miał daru wymowy i nigdy mimo wysiłków nie mógł słuchaczy wzruszyć kazaniem. Z radością spostrzegł kiedyś chłopczynę, płaczącego rzewnie w czasie kazania. To też po kazaniu, przechodząc koło niego pyta:

— Co cię tak wzurszyło, moje dziecko, że płaczesz?

— Co mnie „ruszyło"? — A wej ten Bolek gałgan ma nowe podkówki i ciągiem mnie deptał w bose nogi.

Powód

Pewien obywatel kupił parasol nowego systemu. Po pierwszym deszczu parasol był nie do użycia. Nie dał się otworzyć, a w materii pokazały się dziurki. Obywatel odniósł parasol do sklepu spowrotem i zarządał zwrotu pieniędzy.

Parasolnik oglądał go dokładnie, a następnie rzekł z oburzeniem:

— Pan go musiał zmoczyć!

W szpitalu

Lekarz do chorego.

— Miał pan dreszcze tej nocy?

— Tak, często.

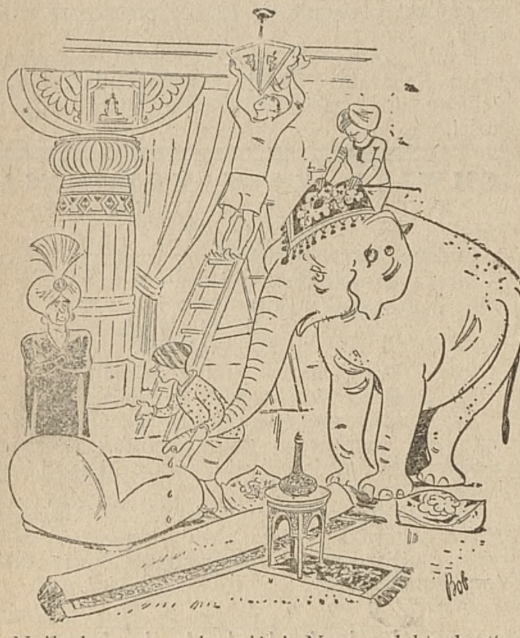
— A szczekały panu zęby?

— Tego nie wiem, ale myślę, że nie... leżą bowiem na stoliku nocnym.

Niesmaczne lekarstwo

— Zwracam Panu pigułki, bowiem babcia każdą z nich smakowała jednak żadnej nie była zdolna przełknąć.

Porządki w pałacu maharadży



Najłaskawszy maharadżo! Nasz „elektrolux" ma dzisiaj katar, więc nie gniewaj się, że poplami trochę twoje kanapy.

Synalek

Prawda ojcze, iż należy zawsze dobrem za złe płacić?

— Naturalnie, mój synku!

— To proszę dać mi 10 groszy, stłukłem tatusiowi okulary.

Radosna przegrana

— Założyłem się z moją teściową, że ja pierwszy umrę.

— No i co?

— No i przegrałem.

Pierwszy raz w mieście

Do miasta przyszedł poraz pierwszy głupkowaty chłopak ze wsi.

Na ulicy zobaczył wóz do polewania ulic i zaczął się gwałtownie śmiać.

— Z czego się śmiejesz? — spytał go ktoś.

— Ha! Ha! Ha! Woźnica jedzie i nie wie że mu wszystka woda ucieka z beczki!

Aż się spocisz

Pewien nauczyciel religji, chcąc się przekonać, czy dzieci rozumieją słowa kary Boskiej: „W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleb" pyta się jaka myśl leży w tych słowach.

Chłopiec jakiś odpowiada: „Masz jeść tak długo, aż się spocisz".

Pośpiech

Pasażer wbiega do portu w Nowym Jorku i zwraca się do marynarza:

— Kiedy odchodzi najbliższy okręt do Europy?

— Akurat za pięć minut.

— A czy nie ma wcześniejszego okrętu? Bo ja się bardzo śpieszę.

Dzisiejsze interesa

— Jak tam interesy panie Rabinowicz?

— Marnie...

— Dlaczego marnie? Słyszałem, że pan ostatnio nieźle zarobił.

— Owszem, ale ja panu zdradzę tajemnicę dzisiejszego handlu... Co się zarabia na płajcie to się straci na dobrych interesach!...

Skwapliwość

— Panie Kotek, pożycz mi pan 20 złotych.

— Chętnie. U kogo?

Tak samo

— Co ty opowiadasz, że twój syn gra na fortepianie tak samo, jak Paderewski?

— Jak babcię kocham, tak samo. Obydwoma rękami.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 95 gr, kwart. 2,85. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a pren. merat. rzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie